

Zofia Nałkowska

CHOUCAS

powieść internacjonalna



· czytelnik · 1960 ·

Obwolutę, oprawę i kartę tytułową projektowała
HANNA STACHURSKA



1

Odzywam się głosem miękkim:

— Tylko proszę cię na wszystko, zrób dzisiaj trochę mniejsze kawałki.

Chwila ciszy.

— Nie, ja właśnie robię zupełnie małe kawałki.

— No dobrze. Ale widzisz, jeżeli nie mogą połknąć, to często z takim kawałkiem uciekają.

— Nie. One tylko próbują smak i dlatego zastanawiają się chwileczkę.

Na to już po prostu nie mam słów.

— „Zastanawiają się chwileczkę" — powtarzam z goryczą i nie odzywam się więcej.

Rzeczy idą swoim trybem.

Pokrajane kawałki białego chleba, lekko posypane cukrem, moczą się w ciepłym mleku.

Gdy już dostatecznie nabiorą smaku, z poręczy „galerii" zeskrobuje się śnieg, starannie łyżeczką na tym miejscu układa się chleb — i oczekuje, aż przyjdą czy też obudzą się choucas.

Może przylatują z granatowych, głębokich dolin, a może wracają z białych, jeszcze wyższych gór. Dość że czasami rano ich nie ma aż do godziny dziewiątej lub później. A czasami nadlatują za wcześnie, zanim cokolwiek jest gotowe.

Proponuję, że może dzisiaj już ja sama ułożę chleb —

tylko na jednej stronie poręczy, żeby choucas miały gdzie stać wygodnie, żeby sobie nóżkami nie deptały po jedzeniu i żeby go nie zrzucały na ziemię.

— Nie, nie trzeba. Już ja wiem, jak one lubią.

No tak, na wszystko, cokolwiek powiem, argumentów jest mnóstwo. I w ogóle nic nie da się poradzić.

Chleb leży i dymi mlekiem w mroźnym, jasnym powietrzu. A z galerii, zamiast zimna, wchodzi przez drzwi otwarte do pokoju radosne, ostre, aż twarde gorąco słoneczne.

Ale nie ma choucas. Najżywszy interes dnia jeszcze się nie rozpoczął.

Za to przychodzą wróble, które są wszędzie po świecie — może trochę mniejsze od naszych, ale równie żywe, śmiałe, mało z czymkolwiek robiące sobie ceremonii.

Jest ich niewiele. Zjawiają się jakby nie z powietrza, raczej ze ścian, spod poręczy, spod markizy — nawet niejako spod podłogi.

Dla nich jedzenie przygotowane jest osobno. Zwykłe okruszyny — bez mleka i cukru, drobne, rozsypane po prostu po podłodze.

I rzecz dziwna. Wróble jak gdyby to wiedzą, nigdy prawie nie wskakują na poręcz, jedzą to, co jest dla nich. Jedzą niefrasobliwie i długo, łupiąc dziobami w okruszyny i rozbijając każdą na małe pyły, które wydziobują do ostatniego. Dziobnie raz, a trzy razy machnie ogonkiem i patrzy uważnie jednym albo drugim małym czarnym oczkiem.

Nie boją się nic, skaczą, szwendają się po ziemi, biegają i przemykają się szybko między nogami trzcinowych foteli jak szare myszy. I przy tym wszystkim wciąż powtarzają: „cze, cze".

Nie wiemy, co chcą przez to powiedzieć. Ale jeżeli panna Hovsephian, mieszkająca pod nami, mówi: „cze, cze", to wiadomo, że to znaczy: tak.

Z tymi wróblami było trzy niezwykłe zdarzenia.

Raz jeden z nich, jedząc, z niewiadomej przyczyny stracił przytomność i upadł z wyciągniętymi łapkami. Natychmiast pośpieszyliśmy mu z pomocą. Wniesiony do pokoju i napojony ciepłym mlekiem, zakrztusił się, otworzył czarne oczka i z rozwartej dłoni wyfrunął po prostu za okno, jak by to wszystko nie wymagało jakiegoś wyjaśnienia.

Drugi — również nie wiadomo dlaczego — z pełnej jadła galerii wpadł do pokoju, usiadł na brzegu biurka i, popatrzywszy uważnie na nas oboje, bez szczególnego przerażenia powrócił tam, skąd przyszedł.

A trzeci wyfrunął skądś, z miejsca sobie jedynie wiadomego, gdy siedzieliśmy na galerii, i przysiadł na oparciu mojego fotela, trzymając coś białego w dziobie.

Myślałam, że to jest kawałek chleba, ale to był kawałek białej, zgniecionej bibułki.

Z tym przedmiotem w dziobie przebywał chwilę między nami, a po pewnym czasie nas opuścił, pozostawiając po sobie tylko zdziwienie i niesmak.

Tak, niewątpliwie, bliskie przebywanie ze zwierzętami, jak i z ludźmi, wytwarza niekiedy sytuacje nie dość jasne i kłopotliwe. Ale któż zdoła z takich względów wyrzec się wszystkich radości współżycia?

2

Już przyszły? — zapytuję ku galerii z głębi pokoju.

— Nie, nie ma.

Milczenie i oczekiwanie.

Przez niebo niebieskie, poniżej słońca, idzie środkiem mały obłoczek. Na chwilę uczepił się szczytu Chamossaire poza doliną, rozstrzępił w małe piórka i frędzle, a wtedy oderwał się i poszedł dalej.

Ale oto nie widać już w głębinach na prawo rozpostartej, białymi od śniegów wysokościami Dent du Midi zamkniętej, gładkiej i ślicznej doliny Rodanu. Płaska chmura rozesłała się, jak sypki pył mączny, po tej dolinie. Jej biała i puszysta treść wznosi się lekko ku górze. Już wpłynęła, wlała się w poprzeczną, węższą i przepaścistą dolinę Grande Eau przed nami. Teraz jesteśmy z naszą galerią i poręczą nad samym brzegiem morza, nasyconego słońcem, białego jak światło. Chwila — i nie widać już nic poprzez te białe ciemności, które zatkały szeroki, rozwarty wylot galerii.

— Zupełnie, jak by ktoś zawiesił tutaj edredon — słyszę niechętną uwagę.

W tym „edredonie" można teraz zanurzyć nagą rękę, można łapać śnieg, który się sypie — ach, jak sypie! — na poręcz z chlebem, na twarze, na kolana, na kwieciste poduszki trzcinowych foteli.

Można godzinami tak siedzieć i patrzyć na to dziwne, pionowo wiszące morze i wodzić oczami za śniegiem lecącym.

A wtedy cała galeria z poręczą i markizą w pomarańczowe pasy i nawet cała willa płynie lekko i bez wstrząśnień ukośnie w górę, w stronę przeciwną niż śnieg.

I nagle cichy okrzyk:

— Są choucas!...

Przylegamy płasko na fotelach, udajemy, że nas nie ma.

Ukazują się wreszcie pośród białej ciemności powietrza.

Oto jedna przesunęła się poziomo i bez ruchu, jak na nitce, w rozwarciu galerii. Oto druga przemknęła jednym rogiem, ukazując czarny brzuszek i zgięte pod nim łapki, jak gałązki korala. Oto inna zakołowała i trzepoce skrzydłami tuż nad poręczą z ułożonym chlebem, nie wiedząc, gdzie ma postawić te koralowe nóżki.

— On „wie, jak one lubią" — myślę sobie z ironią.

Inne planują, ważą się, przepływają z wolna całą gromadą. I w tym otworze galerii wyglądają chwilami jak ryby w obnażonej ścianie akwarium.

Jedna wreszcie przysiadła na poręczy — ostrożna, płochliwa, poważna. Złotym dziobem lekko, pochyło zdziobuje miękkie kawałki i połyka. Jest czarna, wysmukła, świecąca, o łagodnym łebku i miłym wejrzeniu okrągłego oka, niż do wrony podobna raczej do czarnego gołębia — tylko zgrabniejsza, na wyższych, czarno-czerwonych nóżkach.

Ale wzięła kawałek za duży, którego nie mogła połknąć od razu (bo to jednak prawda, że są nie dość małe), i odleciała — nie po prostu w górę, jak każdy ptak — tylko w dół, jakby nieumyślnie, bezradnie, spadając prosto w zawrotną przepaść doliny.

Za to są znów dwie nowe. Jedna siedzi bokiem, cała doskonale widoczna, ufna — o metr zaledwie od naszych oczu. Dziobie tym nieżarłocznym, trochę rozważającym sposobem, może naprawdę „próbuje smak". Druga — trwożliwsza — czerwonym pazurem zaledwie uczepiona krawędzi, bije skrzydłami, łapie dwa albo trzy kawałki, odrywa się i gestem rozpaczy rzuca w otchłań.

I zaraz znowu przychodzi ich pięć: jedzą, czepiają się, spadają. Teraz jest osiem, a za chwilę tylko dwie: Ich śliczne, żółte jak słoma, dość długie, ale zgrabne i dziwnie łagodne dzioby prędko uprzątają do cna smaczny chleb. Ale to nic. Nie wszystko bowiem od razu rozkłada się na poręczy. Druga taka sama porcja stoi przygotowana w filiżance na umywalni.

Choucas nie kraczą jak kawki, tylko piszczą delikatnie, jakby skwirzą, podobnie do naszych jaskółek-jerzyków. I są bardzo zgodne. Nigdy nie widziałam, żeby się biły swymi żółtymi dziobami. Nawet jeżeli ich dużo naraz usiądzie na poręczy i nie wszystkie mogą się dostać do jedzenia.

Zdarza się przecież, że i choucas się rozgniewa. Wów-

czas postępuje bardzo dziwnie. Podnosi mianowicie swoją prawą — zawsze prawą! — nóżkę i tą nóżką uderza, lub raczej kopie szukę stojącą jej na zawadzie. Robi to szybko, w sposób niespodziany, ale stanowczy.

A ta druga nie zdąży nawet pomyśleć o odwecie, gdyż od razu traci równowagę i, bezradnie trzepocąc skrzydłami, zapada w białą nicość.

3

Ale oto mija dzień albo mija po prostu jedna godzina — i nagle nie widać już białej ciemności przed oknami.

Ustał śnieg, opadła bez śladu zasłona z mgły. Dzikie płomienne słońce górskie, pełne najprzedniejszych cnót leczniczych, toczy się po niebie niebieskim, a wybielone szczyty, opuszone bielą lasy i miękkie od śniegów doliny czarują oczy dalą, białością i światłem.

Wtedy z dalekiej galerii na tym samym piętrze słychać młody, radosny głos:

— Thien dobhy panu! Jaka pienkna pogoda!

To woła tak po polsku panna Norah Tharp, najweselsza mieszkanka naszej willi.

Zaczyna się wołana rozmowa. I miss Norah pyta już po angielsku, czy idziemy na spacer.

Naturalnie. Idziemy na spacer. Wszyscy idą. Spadł duży śnieg — więc znowu będą ski i bobsleje, i małe luges.

Na wszystkich, zakosami przecinających pochyłości, drogach widać gromadki rozbawionych ludzi, odzianych w wełny białe i pstre, w brunatne i czerwone skóry. Dzieci całe białe, tylko w czerwonych czapeczkach, kobiety w kaftanach i majtkach z wzorzystego trykotu, w grubych, w wielkie jaskrawe kraty pończochach, w ciężkich buciskach i włochatych rękawicach. Mężczyźni prawie tacy sami, tylko cokolwiek ciemniejsi.

Każdy gdzieś zdąża, coś dźwiga lub poza sobą po śniegu wlecze.

Zjawiły się już i znajome psy — dwa wielkie wilki, jeden puszysty, ociężały bernard, parę jeszcze jakichś mniejszych, zapadających w śnieg po brzuchy i znajdujących w tym ogromne upodobanie.

Już zgrzytają grace, zeskrobujące śnieg z chodników, już wspinają się ukośnie w górę znajome sanie z prowiantami, ciągnione przez znajomego osła, który lubi banany, i drugie, mniejsze, z bańkami mleka, zaprzężone w psa.

Na odległym, nisko leżącym stoku zaroiło się już od skieurów, którzy mają tam swoje tory i usypane ze śniegu trampoliny.

Widzimy przez lornetkę, jak odprawiają tam swoje skoki, jak przewracają się z szalonym impetem z bezradną, rozpaczliwą rezygnacją i tak zdecydowanych na śmierć.

Leżą czas jakiś, jak by już nigdy powstać nie mieli z tego upadku. Powstają przecież, zbierając swoje narty, nogi i kije z kółkami. I dźwigają się znowu ku górze — po tej drodze upadku i wiecznego powrotu.

A w głębokościach na prawo, w gładkiej dolinie, zamkniętej ścianami szczytów zębatych, płynie Rodan — ciemną, żywą, zieloną wodą, w brzegach ze śniegu, lekko omglony brunatną koronką swych drzew nadbrzeżnych.

Teraz miss Norah woła „buono giorno" do pana Manlio Costa, który mieszka na niższym piętrze, i jego także zapytuje, czy idzie na spacer. I on także idzie.

Wszyscy idą. Ale nie idzie wesoła miss Norah, leżąca nago w słońcu na swojej galerii.

Bo miss Norah już trzeci rok leży nieruchomo, cierpliwie czekając, by wygasło ognisko gruźlicy w jej stawie biodrowym. A od pół roku zaczęło jej się jeszcze coś robić w prawym kolanie.

Jest wesoła, ciekawa, towarzyska i tak dużo ma czasu, że uczy się po kolei wszystkich języków, by z tutejszymi

przyjaciółmi swymi wszelkich nacji móc rozmawiać. Ale widocznie nie ma zdolności, bo z każdego języka umie tylko po parę dziwnie wymawianych wyrazów.

I znowu — mija dzień albo mija tylko jedna godzina — i powracają do domu zaszyci we wzorzyste wełny mężczyźni i kobiety, ze ski na grzbiecie albo z saniami u nóg. Na drogach roztopy wiosenne, po zboczach, rowach i rurach woda łoskota i chlupie. Rynną, która z dachu naszej willi wystercza ponad galeriami daleko w ogród, leje się woda i, zmywając w słońcu olbrzymi na pół piętra sopel lodowy, spada zeń, jak ze stalaktytu, na drugi uczepiony w dole do drzewa, dziwaczny, poprzerastały czarnymi gałęziami. Zawsze to drzewo dźwiga na sobie taką jemiołę z kryształu. Ledwie jedna rozpłynie się w słońcu, już zaczyna rosnąć i krzewić się nowa.

Teraz osioł znajomy ciągnie pod górę nie ciche sanie z jarzynami, tylko wózek na kołach. I w wózku dźwiga swoje codzienne bańki z mlekiem znajomy pies.

Śnieg leży już tylko na szczytach i zboczach odsłonecznionych, puszyste, lecące w dół lasy czernieją w oczach. A równa dolina Rodanu jest już zupełnie czekoladowa, jej biel stajała tak szybko, jak krem na serwisie Wojskiego. Przez lornetkę widać dokładnie kratę pól i nagie drzewa nad brzegami czarnej wody płynącej.

Miss Norah ukończyła właśnie krótką, niezrozumiałą swą rozmowę z pięknym panem Carrizales, Hiszpanem, który ma swoją galerię na najniższym piętrze, i zaraz zawołała coś do panny Hovsephian, a ona odpowiedziała jej: „cze, cze".

Słysząc te dziwne rozmowy, mam czasami wrażenie, że osoby, do których zwraca się miss Norah, niezupełnie ją rozumieją. Ale miss Norah, tak rozmawiając, zawsze wesoło się śmieje. I ten jej śmiech już dla wszystkich jest zrozumiały.

4

Uroda pani de Carfort, która siedzi naprzeciwko mnie przy stole, ozdabia mi wszystkie jadła. Widzę ją zawsze w ramie dwóch miniaturowych drzew azalii, stojących pośrodku zastawy, w zimnej oprawie białych kwiatów.

Podobna jest do pewnej złej królowej Wysp Hebanowych, wytłoczonej złotem na ciemnej skórze książki, zawierającej powieści Nocy Arabskich. Ta książka leży na stole w dalekim moim domu i królowa Wysp Hebanowych zawsze prowadzi tam na krótkiej, wyprężonej smyczy złotego, jak ona, leoparda.

Dlatego, widząc pierwszy raz panią de Carfort, miałam wrażenie, że od dawna ją znam.

Jest to długa uroda. Wiele trzeba o niej pisać, bo wszystko jest w niej piękne i niezwyczajne.

Wschodnia, powolna powaga oczów, wydłużony owal twarzy kremowej, nagość czoła, określonego płasko czernią włosów, nos wąski i garbaty, usta surowe, a mogące się uśmiechać z przedziwną finezją.

Pani de Carfort nie jest kobietą z bajki, chociaż mieszka w arabskim pałacu i ma służącą, która nazywa się Fatma. Jest żoną oficera francuskiego w Maroku, jeździ samochodem po pustyni, bywa na przyjęciach u wielkich panów arabskich i rozmawia z ich żonami w haremach.

Ona i pan Carrizales są najpiękniejszymi ludźmi w naszej willi.

Pomimo urody swojej i młodości pani de Carfort jest dziwnie surowa, jakaś groźnie cnotliwa, zawsze ubrana prosto, nawet w wieczorowych sukniach zaledwie odsłaniająca szyję. Wybredna, harda i słodka zarazem, lubi zagadnienia religijne i moralne. Czyta żywot świętej Genowefy, której nosi imię. Czyta zresztą wszystko i ma

o rzeczach świata i piękna swój własny i subtelny, ale nieugięty sąd.

Pomimo tej surowości swej umie prędko i trafnie odpowiedzieć na żart, umie się śmiać. Ale jej śmiech jest zawsze jakby pewnym ustępstwem — ustępstwem z czegoś daleko ważniejszego.

Ma dumę dobrej francuskiej kultury. Można z nią mówić długo o dziejach Francji, o renesansie albo epoce Ludwików. Jednakże gdy z początku, nie znając jej drażliwości, powiedziałam czasami coś obiektywnie na ten temat, jej ciemna twarz oblewała się rumieńcem gniewnego wstydu. Mówiła mi komplementy, ale może wolałaby, żebym mniej dokładnie znała te sprawy.

Ona sama uważała je za nietykalne, za jedynie dobre. Jest legitymistką.

Za to nowa Francja, demokratyczna i bezbożna, rani jej dumę. Wierzy, że się to zmieni. Ale i o tym nie mówi zbyt szczerze. Jest wstydliwa w swojej miłości ojczyzny.

Odkąd poznałam się na tym, omijam już sprawy delikatnie. I mam wiele rozkoszy ze wspólnych naszych rozmów o Pascalu, Huysmansie, Wyzewie, Mauriaku i nawet żywocie świętej Genowefy.

Ale nie jest tak subtelny inny doskonały partner tych rozmów, pan Tocki, obywatel szwajcarski, niejasno już pamiętający o swym rosyjskim pochodzeniu. Jest przekorny, żartobliwy, nawet złośliwy — i nie ustępuje łatwo.

Wówczas pani de Carfort — zwyciężona, rozbrojona śmiechem — staje się na chwilę bezradna. Ale prędko znowu poważnieją jej przepyszne, egzotyczne oczy, bardziej tylko lśniące od doznanej porażki.

Bo pan Tocki jest w przeciwieństwie do niej zupełnie nowoczesny. Miłośnik piękna gór, namiętny alpinista, głosi ponadto zasady demokratyczne, jest republikaninem. Lubi nawet poniekąd rewolucję — chociaż nierad jest tej, która przydarzyła się jego dawnej ojczyźnie.

Niewątpliwie bowiem, jeżeli „bogom się chce pić" przed stu laty, to to z wielu względów jest dobrze. Ale jeżeli chce im się pić teraz, to to jest źle.

5

Miss Norę zobaczyłam pierwszy raz, jak szła o kulach przez mały salon w porze, gdy zwykle nikogo tam nie ma.

Wydała mi się mała, starawa i nieładna w zbyt obszernym ciepłym szlafroku niebieskim, z obciętą równo nad szyją rudą grzywą, z binoklami na krótkim nosie. Była tak opalona, jak bywają tylko wieśniacy w czasie żniw.

Zapoznała nas ze sobą obecna tam również panna Hovsephian.

Miss Norah od razu, ze śmiechem, ukazującym długie zęby, powiedziała mi wszystkie polskie wyrazy, jakie znała. Oprócz dzień dobry i o pogodzie było tam jeszcze: dowidsjenie.

Powiedziała mi też, że jest taka szczęśliwa, że jeszcze idzie. Bo to już ostatni raz. Od jutra doktór znów kazał jej wrócić do łóżka — nie wiadomo wcale, na jak długo.

Więc dzisiaj składa wszystkie pożegnalne wizyty — zupełnie, jak by wyjeżdżała gdzieś daleko.

Teraz idzie właśnie z panną Hovsephian do jej rodaczki, małej Sossé, przemiłej, uroczej, nieszczęsnej panny Sossé Papazian. Ponieważ tamta też wcale nie wstaje, więc z nią pożegna się na dłużej.

— Na dłużej — powtórzyła — nie wiadomo wcale, na jak długo.

A odtąd nie będzie już miała innych przyjemności — tylko przyjmowanie odwiedzin. Sama nie pójdzie przecież do nikogo.

Więc powiedziałam, że i ja ją odwiedzę. A ona, śmiejąc

się i dziękując, odeszła w swoją stronę z panną Hovsephian i ze swymi kulami.

W parę dni później istotnie wybrałam się do niej. Ale gdy stanęłam na korytarzu przed zamkniętymi drzwiami jej pokoju, zawahałam się, czy zastukać. Bo za klamką tych drzwi ujrzałam zatknięty duży bukiet czerwonych róż.

Po krótkim namyśle zawróciłam, rezygnując z wizyty. Wolałam, by ktoś inny ze znajomych lub po prostu ktoś ze służby doręczył jej te tak dziwnie ofiarowane kwiaty i oglądał wrażenie, jakie na niej zrobią.

Gdy przyszłam drugim razem, za klamką nie było zatkniętych żadnych kwiatów. Usłyszałam wołanie, aby wejść. Ale w pokoju nie zastałam nikogo.

— Proszę tutaj! — wołała miss Norah z galerii.

Stało tam tuż przy poręczy wysokie łóżko, okryte kołdrą w wielkie kwiatowe desenie. Wśród rozrzuconych poduszek leżała miss Norah zupełnie naga, nagrzana słońcem i wesoła.

Była opalona, różowobrunatna od stóp do głowy, jak Kreolka. I bardzo ładna. Aż się zdziwiłam, tak nieoczekiwana była dla mnie ta jej uroda po pierwszym z nią spotkaniu. Jej małe, ciemne piersi, okrągłe ręce, wysmukłe linie ud i bioder, wąski brzuch — całe jej ciało, gładkie i smagłe w lśnieniach słonecznych, robiło wrażenie odlanego w metalu.

Trzeba było wiedzieć o tym, aby zauważyć lekkie zdeformowanie biodra, zaledwie skazę na tym brązowym posążku. Kolano — to chore — było jeszcze na pozór zupełnie takie samo, jak drugie, okrągłe i małe.

Uroda tego ciała rzucała odblask piękna na twarz, nadawała jej zupełnie inne znaczenie. Zielone oczy, nie osłonięte teraz binoklami, patrzyły na mnie radośnie spod złotej, obciętej grzywy włosów.

Miss Norah krzyczała, śmiała się, szczebiotała — żywa, wesoła, zapalająca się, wszystkiego ciekawa.

Później przyzwyczaiłam się do jej wesołości. Ale w owej chwili zarówno ta wesołość, jak i cielesna uroda wydawała mi się wobec jej strasznego losu — czymś przerażającym, czymś aż — gorszącym.

Gdy usiadłam na niskim trzcinowym krześle, cała jej postać wraz z łóżkiem posunęła się ku górze — i doskonały, twardy, ciemny kontur jej ciała kładł się teraz na mroźnych, dalekich, srebrzystych płaszczyznach gór i nieba.

Leżała tak naga, a obłożona książkami. Berlitze wszystkich języków świeciły czerwienią okładek. Wśród książek stały na stoliku w dużym holenderskim wazonie wczorajsze róże.

Pokazała mi małe, czarne albumy z mnóstwem wklejonych, kodakowych zdjęć. Były tam jeszcze pełne drogich dla niej wspomnień widoki z Anglii, wizerunki osób z jej rodziny, jej przyjaciół, ładny cottage wiejski na tle starych drzew. A później same tylko zdjęcia z tutejszych gór i tutejszych znajomych, różne grupy, gdzie była i ona — zawsze roześmiana. I wreszcie cały szereg jej fotografii — nago. Musiałam przyznać, że były udane.

Zauważyłam też, że często i w różnych kombinacjach powtarzał się tam pan Carrizales.

— On jest piękny, czyż nie? — powiedziała.

„Jest piękny — i cóż z tego, cóż z tego?" — pomyślałam sobie ze smutkiem.

Ale ona była wesoła. Tak lubiła przeglądać sobie te wszystkie fotografie. Tam oto była jeszcze mniej chora, a tu znowu bardziej. Przez pewien czas tak jej się polepszyło, że mogła chodzić zupełnie bez kul, tylko z laseczką. Ale później znowu było gorzej.

— Jak to oglądam, to sobie przypominam po kolei wszystko — całe moje życie. I to jest bardzo przyjemnie...

6

Wchodząc z szukami niejako w zażyłość, mieliśmy na razie wątpliwość, czy nie zachodzi tu jedynie złudny pozór zbliżenia, czy to wszystko nie jest po prostu nieporozumieniem. Ponieważ wszystkie choucas są prawie jednakowe, więc myśleliśmy, że może to za każdym razem przychodzą inne, a nie powracają znajome, ujęte naszą gościnnością, pamiętające.

Ale to były próżne niepokoje. Wkrótce bowiem mieliśmy już szuki znajome, które umieliśmy od innych odróżnić.

Jedna z nich była kulawa na prawą łapkę w ten sposób, że jej palce były — jeżeli wolno tak się wyrazić — stale zaciśnięte w kułak. I tą niejako pięścią stąpała równie zgrabnie, jak druga zwyczajną łapką.

Bo szuki nie skaczą jak wróble, tylko — stąpając — uważnie i powoli przebierają łapkami, jak na przykład kury.

I ta szuka z pięścią tylko przez dwa dni raz nie przychodziła, a poza tą przerwą zjawiała się jednak codziennie.

Druga znowu znajoma szuka ma jedną — także prawą — nóżkę wysoko i zupełnie uciętą. Ta już nie może stąpać, tylko skacze na drugiej, zdrowej nóżce. Ale trzyma się na niej dobrze, jest pewna siebie i je z zupełnie dobrym apetytem.

Bo nie wszystkie mają dobry apetyt. Przychodzi na przykład jedna — a może to jest: kilka? — siada na poręczy, bierze coś w dziób i wypluwa, znów bierze i znów wypluwa. Wreszcie dziobie inny taki sam kawałek, przez jakiś czas trzyma go w dziobie i z namysłem, powoli łyka. Chwilę stoi jeszcze na poręczy i, nie jedząc więcej, na koniec odlatuje. Albo zły apetyt — albo może smak taki wybredny.

Szuki są wszystkie jednakowe, ale ich temperamenty bardzo różne.

Niektóre na przykład są tak lękliwe, że spadają z góry, jak piorun, chwytają byle co w przelocie i przepadają w czeluściach gór. Inne — też trwożne — ale bardziej łakome, uczepione krawędzi, wiszą, trzepocząc skrzydłami ze słomianym szelestem, dziobią łapczywie, chwytają jedna przez drugą jedzenie, ile tylko zdążą, zanim z przerażenia puszczą krawędź i rzucą się w głębinę. A inne stają sobie wygodnie bokiem, jedzą długo i bez pośpiechu. Nawet mając dość miejsca dla siebie, jeszcze nasuwają się czarną swą piersią na te spłoszone, roztrzepotane, ledwo na jednym pazurze wiszące i stanowczym pchnięciem prawej nóżki strącają je w otchłanie.

Takie czy inne, znajome czy nieznane, szuki są zawsze.

Jest mgła — i z jej toni wyłaniają się, znęcone jadłem, jak czarne widma. Jest znowu słońce — straszliwe, rozjarzone, podbite reflektorem śniegów, podkreślone granatowymi wnękami szczelin i stoków — i wypadają z tej modrej jasności lśniące, wesołe, skwirzące, rozsądne i miłe.

Zwykle fruwają stadami ponad otchłanią dolin. Ale my jesteśmy tak wysoko, że jednak najczęściej widzimy je z góry.

Jeżeli przecież się zdarzy, że one są wyżej niż my, to ich nadciąganie, ich ważenie się i kołowanie nad nami jest prześliczne. W rozwarciu skrzydeł i ogona mają kształt krzyża walecznych, a złoty dziób, prześwietlony słońcem, i korale podwiniętych nóżek na czarnej emalii brzuszka wyglądają na jubilerskie ozdoby.

Fruwać, planować z wolna i zawrotnie pośród głębokiego błękitu — to właśnie jest rzecz łatwa dla choucas. Długo nie poruszają skrzydłami, lekko się tylko nadstawiając powiewowi wiatru — i suną kołami, parabolami, jak senne i urzeczone.

Ale wylądować wreszcie, stanąć na wąskiej rampie

z chlebem — oto co stanowi zadanie. Szuka przybywa, nieruchomieje w powietrzu, zawisa, waży się i przesuwa w prawo i w lewo — aż wreszcie z mnóstwem ostrożności ląduje — czasami po to tylko, by, pochwyciwszy bez namysłu jeden byle jaki okruch, od razu spaść, nie odzyskawszy nawet równowagi.

Najtrudniej zdecydować się na wylądowanie, gdy kilka szuk siedzi już i je — i dobrze trzeba się namyślić, gdzie usiąść. Czasami niezręczne spadnięcie na poręcz jednej szuki robi takie zamieszanie, że od razu rozpędza wszystkie.

Jeżeli szuka uczepi się łapkami poręczy i w ten sposób je, to na wielkim tle gór i powietrza widać tylko jej łagodny, czarny łebek i wysokie, potulne ramionka, a reszta schowana jest za poręczą, niby za stołem.

Dlatego pan de Flèche mówi o szukach: „ils s'attablent".

Pan de Flèche mieszka pod nami, obok panny Hovsephian, i też lubi dawać jeść szukom. Ale tej konkurencji z dołu nie można traktować poważnie. Na jego poręczy leżą zwyczajnie okruchy chleba, jak u nas na podłodze dla wróbli. Pan de Flèche nie wie, jak „one lubią", nie ma żadnej ambicji, że umie im dogodzić.

U nas jest inaczej. Zdarzają się duże fety, wystawne śniadania, kiedy prócz moczonego chleba podaje się kruszone ciasteczka, drobno krajane banany, kawałki jabłka, nawet włoskie orzechy. Szuki spadają całym stadem, trzepocą się i śpieszą, spychając się nawzajem, chwytają jadło i połykają je byle jak, wiszą w otworze galerii na niebie — niby ruchoma zasłona modra, haftowana w czarne ptaki.

I są przyjęcia intime. Pięć do siedmiu szuk rozważnie zasiada wzdłuż poręczy i oddaje się w skupieniu przyjemnościom uczty. Z wolna dziobią, po kolei smakując różne dania, i kiwają ku sobie gładkimi, czarnymi łebkami,

jak by chciały powiedzieć: „On mange bien ici tout de même".

I wreszcie odlatują jednocześnie — spokojne, niczym nie spłoszone, odlatują jedynie dlatego, że zjadły „à leur faim".

7

Kiedyś przy stole panna Hovsephian powiedziała, że umie przyrządzać prawdziwą turecką kawę. I na tę kawę zaprosiła nas do swego pokoju.

Panna Hovsephian jest tak malutka i chuda, że to jest aż niewiarogodne. Nosi żałobę, ubrana jest czarno od stóp do głowy. Ma czarne włosy i wielkie czarne oczy w chudych powiekach, i czarną suknię, i czarny sweter, i czarne pończochy, i czarne pantofelki. Białe ma tylko ręce i drobną, chudą twarz.

Pan Carrizales, który jej nie lubi, mówi, że panna Hovsephian jest zupełnie podobna do choucas. Naturalnie, że w naszych oczach takie porównanie nie może nikomu przynieść ujmy.

Panna Hovsephian wygląda na starszą, niż jest, jak zwykle kobiety Wschodu. Jej oczy są wystraszone i tragiczne, o każdej chwili gotowe do płaczu, oczy, które w i d z i a ł y.

Ale gdy się do niej odezwać, uśmiecha się mile i dziecinnie. I ten uśmiech cieniutkich warg na drobnych, białych zębach jest jej jedyną młodością.

Nie jest na nic chora, nie kaszle i nie ma gorączki. Ale jest taka nikła, taka wątła i znikoma, jak gdyby do pewnego stopnia tylko istniała, jak by istniała zaledwie poniekąd. Trudno uwierzyć, że może być kogoś tak mało.

Gdy przestąpiliśmy próg jej pokoju, uderzyło nas, że różnił się tak bardzo od innych pokojów w naszym hotelu. Ściany zawieszone były dywanami z Oropos, robio-

nymi na wygnaniu przez armeńskie dziewczęta. Piękny, złoto-fiołkowy, ściemniały kobierzec okrywał też płaską, szeroką sofę i spływał aż na środek pokoju.

Nisko nad wieloma jedwabnymi poduszkami tej sofy wisiał na ścianie mały, cenny obrazek Ajwazowskiego.

Bo nikt tego nie wie, a przecież i Ajwazowski był Armeńczykiem!

Mieszkała tu w górach od kilku lat i nie zamierzała wcale wyjechać. Jeszcze najlepiej czuła się w tym gościnnym, pełnym szlachetnych ludzi kraju. Zresztą i tak nigdzie na świecie nie miała swego dachu.

Pokazała nam dziwny, długi młynek, w którym była kawa, zmielona przez nią samą na proszek, subtelny jak pył.

Oglądaliśmy różne drobne przedmioty, mające wartość relikwii, stare pieniądze, stare książki, których klasyczny język nazywa się grabar, a druk wygląda jak jakiś napis runiczny na przedhistorycznym wykopalisku.

Odczytywała nam, również dla nas nieczytelne, tytuły książek współczesnych, nazwiska poetów i artystów. O wszystkich mówiła „byli", bo żaden już nie żył. Wszyscy najlepsi, cały kwiat inteligencji armeńskiej był wymordowany.

Panna Hovsephian urodziła się w Trebizondzie, ale nie miała tam już nikogo z rodziny. Nie miała nigdzie nikogo. Była sama. Wszyscy zginęli. I jak zginęli!

Dzieckiem słyszała opowieści o straszliwych rzeziach Abdulhamida w Vanie, Mouch, Bitlisie, Diarbekirze i Trebizondzie, o trzystu tysiącach wymordowanych Armeńczyków. A po rewolucji młodotureckiej, od której czekali wyzwolenia, wybuchły nowe masakry w Adana, w Cylicji.

Piliśmy z cieniutkich granatowych ze złotem filiżaneczek ową kawę turecką, uczuwając aromatyczny, słodki miał w ustach. A ona mówiła:

— Kiedy rozpoczęła się wojna, nastały nowe prześladowania — i wtedy zginęło milion dwieście pięćdziesiąt tysięcy Armeńczyków. Turcy mordowali ich w mieszkaniach, na ulicach, po więzieniach. Małych chłopców spędzali na rynki miast i zarzynali siekierami i nożami, a za kordonem policji wyły z męki i szalały ich matki. Całe miasta armeńskie, całe wojska widm, całe zastępy mających umrzeć gnano przez bagna i pustynie szlakami, wzdłuż których gniły trupy tych, którzy poszli dawniej. Idąc, umierali z głodu i zarazy — mężczyźni, kobiety i małe dzieci. Zatrzymywali się na odpoczynki na cmentarzach, w truciźnie zaledwie przysypanych ziemią ciał. I znowu szli dalej, a w trawie między grobami zostawali umierający na tyfus i cholerę, do których kordon bronił przystępu amerykańskim i szwajcarskim sanitariuszom.

W pobliżu miast nawet widziało się często po ziemi to jakąś rękę, to ogryzione kości, to kawałki gnijącego mięsa ludzkiego, z płytkich, zbiorowych grobów wywleczone przez psy. Wody Eufratu były zatrute, cuchnące od trupów...

Gdy tak mówiła, jej oczy tragiczne, przechowujące w sobie grozę widzianego, pełne zawsze płomiennych łez, były jednak zupełnie suche. Tylko cieniutkie wargi drżały i krzywiły się lekko, gdy je domknęła.

8

Oprócz nas przyszedł jeszcze, zaproszony też na ową kawę, pan Peynirian, Armeńczyk z Konstantynopola. Opuszczając ojczyznę musiał tam pozostawić swoją matkę oraz, jak się wyraził: „une immense fortune". Prowadził był bowiem wielkie interesy z Bagdadem i Damaszkiem, miał domy handlowe w całej Turcji. A teraz o matce swojej to tylko wiedział, że dotąd nie umarła,

ale nie mógł ani wysyłać, ani odbierać od niej listów. Sam zaś zaledwie miał z czego żyć. I czekał tutaj — na co? Nie wiadomo. Na nowe przemiany polityczne, na obudzenie się międzynarodowego sumienia, na cud.

Bo wszystkie obietnice Ameryki i Europy zawiodły.

Na próżno szlachetna Szwajcaria, przyjaciółka Armenii od lat trzydziestu, nie ustaje w zabiegach, apeluje do instytucji, rządów i parlamentów, przypomina paragrafy traktatów, które nigdy nie weszły w życie.

Od traktatu w San-Stefano i kongresu berlińskiego, na których wielkie mocarstwa zobowiązały się do obrony chrześcijan w Turcji, aż do traktatu pokoju, który uznał niezależność nowej Republiki Armeńskiej na Kaukazie i zapowiedział przyłączenie do niej armeńskich wilajetów Turcji — nie dotrzymano nic.

Pan Peynirian nie był wcale podobny do kupca bagdadzkiego z bajek wschodnich, z dziecinnych marzeń albo ilustracyj Dulaca. Jego pospolita twarz mogła być twarzą zarówno Niemca, Francuza i Żyda, jego strój był przeciwieństwem wszelkiego egzotyzmu.

Ten jego wygląd nadawał wszystkiemu, co nam mówił, zupełnie przypadkowy charakter całkowitej bezstronności.

— Armenia, od ośmiuset lat żyjąca w niewoli, podzielona ostatnio między Rosję, Persję i Turcję, w zwycięstwie ententy pokładała wszystkie swoje nadzieje. Liczyć na sumienie ludów, wierzyć hasłom, w imię których toczyła się ta wojna — to była naiwność, którą dzieliła przecież z wieloma innymi narodami.

Od wybuchu wojny ochotnicy armeńscy przedzierali się do Tyflisu, walczyli we Francji, w Rosji i w Palestynie.

A już w roku 1916 zawarty został tajny układ, którego mocą Armenia miała być podzielona między Anglię, Francję i Rosję. Taki był projekt przyjaznych mocarstw, głoszących postulat wyzwolenia ludów — i tylko niezależne

od nich okoliczności sprawiły, że nie znalazł urzeczywistnienia.

Okupacja Cylicji przez wojska francuskie obudziła wśród Armeńczyków nowe szalone nadzieje. Setki tysięcy uchodźców powróciły wówczas z wygnania i, mając zapewnioną opiekę okupantów, z całkowitym zaufaniem osiedliły się w tej części swego kraju. Tymczasem wkrótce weszły do Cylicji narodowe wojska Mustafy Kemala — i zwyciężeni Turcy odnieśli zwycięstwo nad zwycięskimi Francuzami, którzy chętnie wyciągali wówczas rękę do zgody. A ci z Armeńczyków, którzy nie zdążyli uciec, wydani zostali na pastwę nowych rzezi w Marach i Hadżin (...)

Teraz zabrała głos panna Hovsephian.

— Cylicja to jest dawne Królestwo Małej Armenii. W wieku XI papież i cesarz niemiecki obdarzyli nią Armeńczyków w nagrodę za pomoc, którą ci jedyni wówczas chrześcijanie Azji dawali wyprawom krzyżowym. Bo od samego początku IV wieku, gdy na wschodzie panował mazdeizm, a na zachodzie bóstwa greckie, państwową religią Armenii był chrześcijanizm.

Mówiła tak swoim cichym, nieśmiałym głosem o wielkich dziejach Haiastanu, o jego starej kulturze i języku, o jego piękności, o bohaterskim wytrwaniu przez osiem wieków niewoli. Mówiła o wspaniałej bazylice w Ereruk, o dawnej stolicy, Ani, za potężnej dynastii Bagratydów, którą Turcy zdobyli i zburzyli wraz z cudowną świątynią świętego Grzegorza z VII wieku. O wielkich wojnach, które lud jej toczył z Asyrią, Persami i Rzymianami.

Tak — była córką antycznego narodu ta mała, czarna, nikła panna Hovsephian, potomkinią Hitytów, o których mówi Biblia. I kochała tę swoją dwa i pół tysiąca lat istniejącą ojczyznę.

Pan Peynirian przeglądał tymczasem książkę, którą

wziął z niskiego, wielobocznego stolika przed otomaną. Gdy ona przestała mówić, poprosił o pozwolenie przeczytania nam dwóch ustępów.

Jeden był kopią tajnego rozkazu tureckiego ministra spraw wewnętrznych z roku 1915.

„... zaleca się szczególniej nie poddawać się litości wobec ich nędznego stanu i pracować z całym oddaniem nad wykorzenieniem imienia armeńskiego z Turcji. Baczyć, aby wyznaczeni do tej funkcji urzędnicy byli patriotami i ludźmi zaufanymi".

Drugi ustęp brzmiał:

„Oceni pan niewątpliwie zaufanie, którym prefektura obdarza szanowną pańską osobę, zarówno jak doniosłość zadania, które na skutek tego zaufania powierza się pańskiemu wykonaniu. Nie zezwoli pan na pozostanie ani jednego Armeńczyka w Bab. Tylko surowość i sprawność, jaką pan zastosuje w wyprowadzeniu deportowanych, da pożądany przez nas wynik. Proszę jednak przedsięwziąć środki, by trupy nie leżały na drogach. Listy zgonów, przesłane nam ostatnio, nie są zadowalające".

Odczytawszy to pan Peynirian milczał przez chwilę. A później powiedział: — Zdarzyło mi się widzieć dziwny klejnot. Był to różaniec do modlitwy, którego paciorki — te większe do Ojcze nasz i mniejsze do Zdrowaś Maria — zrobione były z wysuszonych sutek kobiecych, z odciętych piersi pomordowanych Armenek...

Na zakończenie całej tej rozmowy panna Hovsephian powiedziała takie słowa:

— Jeden naród nie powinien uciskać drugiego, prawda?

9

Jak wszędzie na świecie, tak i w naszej willi była jedna sprawa bardziej interesująca niż inne, stanowiąca przedmiot dyskretnych rozmów, cichych spostrzeżeń, uśmieszków i dociekań. Była, słowem, własna sensacja: pan i pani Saint-Albert.

Przyjechali najpóźniej z nas wszystkich i zasiadali przy osobnym stole, w jednym z pokojów, połączonych z salą jadalną szeroko rozsuniętymi drzwiami.

Trzy ściany tego pokoju były całe oszklone, częściowo okryte jasnymi zasłonami. Stała tam jedna, sięgająca sufitu, araukaria i całe mnóstwo roślin kwitnących. Tak wysokich i rozgałęzionych wspaniale pelargonii o kwiatach różowych, wielkich jak bukiety, nigdzie chyba nie widziałam. Po kątach kwitły azalie i cyklameny. Czy w słońcu, gdy ciepłe światło ciekło przez szyby i zasłony, czy wieczorem, gdy u sufitu świeciła owinięta w złoty jedwab lampa, to ukwiecone miejsce robiło wrażenie naprawdę czarodziejskie.

Pani Saint-Albert była wysoka, ładnie ubrana, ale już niemłoda. Miała rysy dobre, cokolwiek duże, rasowe, wyraz ust zimny i zimne spojrzenie. Zmarszczki tu i ówdzie — na szyi, przy oczach — nie od razu były widoczne. Ale od razu widoczny był chłód, owo patrzenie z oddalenia, jakby z drugiego brzegu — cały sposób bycia kobiety, która sama już się nie liczy i nic nikomu nie pragnie sugerować.

Nie było w niej nic z tego, co jeszcze niejako zatrzymuje, przeciąga młodość — na sekundę jednego uśmiechu albo spojrzenia.

Patrząc na nią pomyślałam z uznaniem, że ta kobieta umie się w porę starzeć.

Za to jej towarzysz — bo nikt jakoś nie nazywał go

jej mężem — był młody i nie potrzebował do tego żadnej umiejętności.

Pan Carrizales z właściwym sobie tupetem utrzymywał, że ta para na pewno nie jest małżeństwem, chociaż ich nie znał i nic o nich nie wiedział. Zawierzał w tym wypadku swej intuicji, która mówiła mu, że pani Saint-Albert, mimo pozorów, jest grande amoureuse, że porzuciła męża, by zjechać się z tym pięknym chłopcem z dala od świata.

Carrizalesowi nikt naprawdę nie wierzył. Osiągnął jednak to, że zasiał wątpliwości.

Rzeczywiście, zaciekawiająca para nie szukała towarzystwa, zdawała się wystarczać sobie. Było im dobrze ze sobą — oboje zdrowi, lubiący sporty, robiący ciągle wycieczki. Spotykaliśmy ich na torach, w górach, w tearoomie, na koncertach — zawsze razem.

Wszędzie zresztą ona zachowywała swą powagę czy lenistwo, była małomówna. Za to on ponosił całkowicie koszta rozmowy. Robił doprawdy wszystko, co mógł — zawsze pełen humoru i ożywienia, zawsze pełen młodości.

Pan Saint-Albert nie miał zadziwiającej urody Carrizalesa, ale niewątpliwie był zupełnie przystojnym człowiekiem.

Ponadto miał uśmiech, mogący pobudzić do bicia serce kobiety nie tylko czterdziestoletniej. Od tego uśmiechu trudno było odwrócić oczy. Jakiś fizyczny zbieg okoliczności, czysty przypadek sprawiał, że to właśnie ustawienie płaszczyzny zębów lub może zbytnia pełność czy zwartość warg i wynikła stąd trudność, wysiłek, aby jednak uśmiechnąć się do samego końca, uśmiechnąć się aż do dna — nie wiem ostatecznie, jak to powiedzieć. Ale sam ten uśmiech był tutaj wystarczający dla tragedii. Jego galanteria, jego baczność na wszelkie jej chęci, jego jawnie manifestowane uczucie robiło czasami wrażenie, że chce ją za coś przebłagać — wobec jej chłodu. Czyż-

by za to tylko, że był młodszy? Na próżno. Nawet ten uśmiech, ten jego uśmiech był bezsilny. Zawsze już między pięknymi jej brwiami leżała zmarszczka zastygłej powagi.

Gdy czasami dolała mu wina lub nałożyła coś na talerz, całował przelotnie jej palce w powietrzu, nie przytrzymując wcale ręką jej ręki.

Tak, widok tych dwojga robił naprawdę niepokojące wrażenie.

Bo każde z osobna na swój sposób mogło być szczęśliwe. Reszta jej piękności — piękności artystek albo kobiet światowych, którym umówiona pobłażliwość ludzi przedłuża daleko ich młodość, mogła była dla człowieka w jej wieku stanowić jeszcze parę lat szczęścia.

Istotnie — było to dziwne i dawało do myślenia.

Toteż, gdy pan i pani Saint-Albert opuszczali swój kwietny pokój i przez salę jadalną szli ku schodom, wszyscy odprowadzali ich wzrokiem.

Nawet surowa pani de Carfort podnosiła ku nim swoje długie, czarne arabskie oczy.

10

Ona musiała wiele cierpieć.

— To znaczy, że znowu panu nie smakuje, jak zeszłym razem.

— Nie. U tamtej były zupełnie inne przyczyny: raczej pewna oschłość charakteru, pedanteria, może kalwinizm...

— Tak pan sądzi?

— To była surowość zasad już jako życiowy program. A ta dzisiejsza musiała mieć po prostu ciężkie przejścia osobiste — rodzinne czy uczuciowe.

— To tylko dlatego, że pan wziął nogę. Bo inne kawałki są kruche.

Tak właśnie rozmawia się z panem Tockim, siedząc przy stole i odkrawając od kości pieczyste z trochę twardego indyka. Nigdy nie wiadomo, jaki nonsens wyda mu się dostatecznie dobrym tematem rozważania. Jego dowcip żeruje na wszystkim, wszystko pragnie utylizować.

Naprzeciwko, w oprawie białych pęków azalii, widać pyszną głowę pani de Carfort.

Nie patrzyła ku nam i nie mówiła nic, chociaż słyszała tę rozmowę. Po prostu tylko dawała się widzieć. I to już było tak wiele.

Po obiedzie poszliśmy do salonu na muzykę, i pan Tocki, jak zwykle, grał wszystko, o cokolwiek go poproszono, od Beethovena poprzez Poulinca aż do shimmy.

Było wesoło, bo zeszedł na dół pan Est, śmiertelnie blady w swym starannym, czarnym stroju, bardzo brzydki, raczej jednak podobny do Samoańczyka niż do Żyda. Był najmłodszy między nami. Niewyczerpaną swą wesołością wszystkich doprowadzał do śmiechu. Nawet zawsze poważna i ogromnie nieśmiała lady Malden przyglądała mu się życzliwie, nie przestając jednocześnie robić szydełkiem wielkiego kaftana z kawowej frou-frou.

I panu Estowi nie najlepiej powiodło się w jego ojczyźnie, w Rumunii. Na skutek zajść antysemickich wśród studentów musiał opuścić uniwersytet w Bukareszcie. Studiował dalej swoje prawo w Paryżu, tam jednak poszedł za nim jego zły los. Dostał suchot, na które umarła już jego matka i dwaj starsi bracia.

Był podobno ciężko chory i nie pozwalano mu opuszczać łóżka. Ale szalona chęć zabawy i radości sprawiała, że nie słuchał swego lekarza i od czasu do czasu zjawiał się niespodzianie między nami. Grał, śpiewał, tańczył, dowcipkował i nawet flirtował — ze szczególnym

uwzględnieniem tak pięknej i niedostępnej pani de Carfort.

Jego pomysły były na poziomie jego wieku i miały charakter figlów studenckich.

Poprzedniego dnia wywieszono w różnych miejscach naszej willi ogłoszenie, że z powodu braku wody uprasza się mieszkańców, aby używali jej możliwie najoszczędniej.

Cóż to była za gratka dla pana Esta! Był niewyczerpany w wynajdywaniu coraz to nowych wyrzeczeń, ograniczeń i rygorów związanych z tym brakiem wody. Ponadto ułożył sam cały szereg takich ogłoszeń, które niby to w imieniu zarządu przyczepiał pineskami po korytarzach, gdzie się dało.

„Zarząd uprasza, aby osoby, mające podniesioną temperaturę, zawiadamiały o tym administrację, która zużytkuje zbywające ciepło do ogrzewania radiatorów".

„Wobec nadmiernego przeciążenia siostry, uprasza się chorych o wzywanie jej tylko w razie ostatecznej potrzeby, mianowicie w chwili śmierci".

„Zarząd uprasza, aby kuracjusze dla uniknięcia infekcji powstrzymywali się od plucia na sufit — zarówno wewnątrz gmachu, jak poza jego murami".

Było tego mnóstwo, ale więcej już nie zapamiętałam.

Prawdziwą ofiarą jego humoru i jakiegoś dziecinnego zuchwalstwa była pani de Carfort. Zagniewana na samą siebie, śmiała się jednak, w dwójnasób urocza w przelotnych łunach rumieńców na kremowej twarzy.

I tym razem, wobec jego ukłonu i prośby, gorszyła się i ociągała. Ale przecież przystała wreszcie i raczyła tańczyć z nim, z tym zbyt śmiałym, brzydkim i nieszczęśliwym chłopcem. Może z litości — a może dlatego, że tańczył istotnie najlepiej ze wszystkich i nawet jej trudno było oprzeć się pokusie.

Na koniec i ona, i inni mieli tego dosyć. Zabronili mu więcej tańczyć i kazali iść z powrotem na górę. Jednak

umiał jakoś przejednać wszystkie serca i pozwolili mu zostać, byle wreszcie zachowywał się spokojnie.

Zasiadł wówczas za małym stolikiem, na którym stał klosz szklany na metalowej tacy, i, uzbrojony w ołówek i widelec, urządzał nieprzewidziany jazz do tanecznej muzyki pana Tockiego. I gdy mu było mało dźwięków ołówka o klosz i widelca o tacę, uderzał jeszcze kościanym szydełkiem pani Malden w nogę stolika, osiągając dźwięk subtelny i matowy jak jęknięcie komara.

Zażywał tych swoich instrumentów biegle, z muzykalnością i nerwem jakiegoś biednego Żydka cymbalisty.

Wreszcie pożegnał się już ze wszystkimi, a zatrzymał się dłużej przy pani de Carfort, by jej zanucić — nie wiadomo dlaczego — tak, jak twierdził: zaktualizowaną piosenkę Tostiego:

Mourir c'est partir un peu...

I wyglądał wtedy jak ucieszny, żałosny, makabryczny karzeł przy swojej księżniczce.

Gdy wreszcie odszedł już zupełnie, pan Tocki powstał od fortepianu i z kolei on podszedł do pani de Carfort.

Ale na ten widok nachmurzyła się w sposób zupełnie widoczny. Wówczas pan Tocki zapytał, czy rzeczywiście towarzystwo i dowcip pana Esta o tyle więcej przypadają jej do smaku niż jego osoba.

Pani de Carfort chłodno i poważnie objaśniła mu, że tych porównań nie robi. Jednakże tłumaczenie żylastości indyka drwinami z takiej nawet religii, jak kalwinizm, wydaje jej się bardziej niesmaczne niż wszystkie głupie żarty Esta.

11

Pan Tocki nie odpowiedział, zdaje się, nic i po chwili znów siedział przy fortepianie.

Gdy zaczął grać, do salonu weszli nieoczekiwanie państwo Saint-Albert w towarzystwie panny Hovsephian i pana de Flèche, naszego sąsiada z dołu, który także karmi szuki.

Pan de Flèche jest wysokim człowiekiem przeszło trzydziestu lat o jasnej, subtelnej twarzy i bardzo jasnych włosach.

Państwo Saint-Albert zjawili się tu po raz pierwszy, widocznie zwabieni muzyką, i jak zwykle zrobili wrażenie.

Usiedli w głębokich fotelach niedaleko wejścia i słuchali w milczeniu. Obok pani Saint-Albert od razu zajął miejsce obecny tutaj Carrizales, a panna Hovsephian zbliżyła się do nas.

— Oni jednak są małżeństwem, pan i pani Saint-Albert — powiedziała półgłosem, zwracając się specjalnie do pani de Carfort. — Są małżeństwem, ale pobrali się niedawno.

Pani de Carfort poruszyła się niespokojnie. I mnie także udzielił się niepokój: sprawa tych dwojga była rzeczywiście zbyt poważna.

— Pan Saint-Albert jest siostrzeńcem jej pierwszego męża — dodała jeszcze panna Hovsephian.

Szczegółów tych dowiedziała się od pana de Flèche, który jada u siebie i rzadko jest widzialny. Znał ich dawniej, czy też tylko o nich słyszał. Słowem, nasze wątpliwości były nieuzasadnione, a wszystkiemu, jak zresztą zwykle, winien był Carrizales.

Ale winnym się nie czuł bynajmniej. Gdy tylko umilkła muzyka, z niezwykłą żywością i zapałem, a zarazem niewiarogodną po prostu francuszczyzną, zabawiać zaczął tamto towarzystwo.

Słyszałam — zresztą już nie po raz pierwszy — jak nazywał Blasco Ibaneza „traître" i „bandit" i oburzał się na jego książkę o Alfonsie XIII. Pan de Flèche wyraził zdziwienie, że ten świetny pisarz jest tak nienawidzony

w swoim kraju, i Carrizales obiecał dać mu do przeczytania książkę o Ibanezie el Cabbalera Andaza.

I mnie pożyczył ją kiedyś — tę słabą i niewybredną polemikę, w której najmocniejszym zarzutem było, że Ibanez, zadławiwszy się wstawionymi zębami, wołał o lekarza i w ten sposób wykazał brak odwagi.

Ale Carrizalesowi to właśnie wydawało się przekonywające.

Jakże płonął ten wzorowy Hiszpan uwielbieniem dla swego króla, dla jego generała, dla pięknej i poetycznej swojej ojczyzny.

Pani Saint-Albert patrzyła na niego poważnie, a jej szare, zimne oczy wcale nie dostrzegały jego urody. Z tym właśnie wyrazem twarzy mogła równie dobrze słuchać go w skupieniu, jak myśleć zupełnie o czym innym.

Światło na jej dużą, spokojną twarz padało prawie wprost z góry. I w tym oświetleniu dwa półksiężyce drobnych zmarszczek pod jej oczami były podkreślone tak wyraźnie, że to było aż krępujące.

Za to z całym napięciem żywej, wrażliwej uwagi patrzył w Carrizalesa jej młody mąż. Oglądał go od stóp do głowy, lubując się po prostu i ciesząc tym przepysznym okazem człowieczej rasy.

Do ostatnich granic staranny w ubraniu i obejściu, nieposzlakowanie estetyczny i rasowy, z długimi, olśniewająco białymi zębami, z brunatnymi oczyma, miotającymi płomienie, Carrizales istotnie wart był uwagi.

Żarliwy katolik, co dzień chodzący na mszę, spowiadający się często i jedyny przy naszym stole obserwujący wszystkie posty, był wiernym synem dawnej kwitnącej Hiszpanii, zagrażającej niegdyś równowadze świata, Hiszpanii inkwizytorów i krzyżowych rycerzy, Hiszpanii fanatyzmu i chwały. Był czas, że zwyciężywszy Turków na Wschodzie, zapuszczała się do Afryki, zwalczała protestantów w Niemczech, Francji i Anglii, nawracała bał-

wochwalców Nowego Świata, wypierała spośród siebie Żydów i Maurów i w żarach auto-da-fé rafinowała ogniste namiętności swojej wiary.

Dzisiaj — skarlała i nic nie znacząca — od szeregu lat walczy niedołężnie ze zbuntowanym wodzem swego Maroka, śląc tam na stracenie wciąż nowe wojsko i złoto.

Jakże naturalne wydawało się temu namiętnemu Carrizalesowi, że jednak trzeba tam walczyć wciąż — trzeba wysyłać ludzi i pieniądze, dopóki zbrodniczego i niepojętego oporu tamtych się nie przełamie.

Słuchaliśmy z daleka tego wszystkiego. I jeszcze dziwniej tym razem zabrzmiały naiwne słowa panny Hovsephian, która powiedziała półgłosem, na nikogo nie patrząc:

— Ale jeden naród nie powinien uciskać drugiego, prawda?

Jej tragiczne oczy wyjrzały pytająco z ostrej, małej i zupełnie białej twarzy.

Pani de Carfort popatrzyła na nią zimno i nie odpowiedziała nic.

Ale gdy panna Hovsephian odeszła, zwróciła się do mnie:

— Ci Armeńczycy są wreszcie nieznośni. Oni zanudzają wszystkich swymi nieszczęściami.

Wyznałam, że te ich nieszczęścia nie wydają mi się ostatecznie takie nudne.

Uśmiechnęła się swym drogocennym uśmiechem, tak pełnym finezji.

— My możemy coś o tym powiedzieć. Pani wie, że okupacja Cylicji kosztowała Francję dwa i pół miliarda? I ostatecznie znowu ich tam potem rznęli.

12

Widzę ze zdziwieniem, że, parokrotnie już mówiąc o panu Tockim, wcale dotąd nie napisałam, jak on wyglądał. Myślę, że jednak trzeba to zrobić.

Zwykle przecież jest bardzo ważne, jaką kto ma powierzchowność. Nie tylko rozmiary i barwa człowieka, ale jakiś zupełnie drobny szczegół postaci — gest rąk, osadzenie szyi, uśmiech — są wyrazem jego wewnętrznej natury. Te drobiazgi są to jakby jej sposoby, jej próby, aby się ujawnić, dyskretne usiłowania, aby za wszelką cenę dojść do głosu.

Tymczasem, gdy chcę napisać, jak wyglądał pan Tocki, to po prostu nic nie mam do powiedzenia. Jego cały wygląd był tak przypadkowy i nieważny, że o niczym nie informował, a jego samego do niczego nie zobowiązywał.

Proszę mi wierzyć, że czy pan Tocki miał oczy niebieskie, czy czarne, to było i jemu, i innym zupełnie wszystko jedno.

Z usposobienia na przykład lubił żartować, a wyraz twarzy miał zupełnie niewesoły — chociaż i niesmutny wcale. Raczej trochę nudny i kwaskowaty, ale i to jest przesada — bo po prostu nie miał żadnego wyrazu. Lubił sporty, wychodził na parę dni w góry, miał opinię pierwszorzędnego skieura — a nie wyglądał na sprawnego fizycznie, nie był ani wysoki, ani dobrze zbudowany — niczym nie dawał się zapamiętać. Był też fenomenalnie muzykalny — a kto by się tego domyślił, słysząc na przykład jego głos zbyt cienki, sposób mówienia rozwlekły, niemiły, trochę nosowy.

I gesty miał jakieś niepotrzebne, głupsze niż on, wyrażające ukontentowanie nie wiadomo z czego. Gdy się ukłonił, to zawsze potem jakoś przesadnie się prostował,

gdy coś podniósł, to podawał ze zbytecznym zaokrągleniem, prawie z reweransem.

Nikt nie mógł mu na to nic poradzić, że taki był — bo nawet trudno jest wytłumaczyć, o co tu idzie i co właściwie można by mu zarzucić.

Był to pewno brak wewnętrznej harmonii, zakłócenie proporcji w układzie spraw ciała i ducha. I moje zarzuty mogłyby się naprawdę wydawać zbyt „cienkie" — gdyby nie to, że tę pewną niedogodę w obcowaniu z nim odczuwał każdy, chociaż nie usiłował wcale wnikać w jej naturę.

Jeżeli wspomniałam o jego niepowodzeniu wtedy wieczorem u pani de Carfort, to właśnie dlatego. Jestem pewna, że owa indyczka i kalwinizm były tam sprawą drugorzędną. Że właśnie szło o to wszystko razem, co sprawia, że pan Tocki traci na każdym porównaniu.

Bo na przykład taki Est był przecież i bardzo brzydki, i niewątpliwie zbyt poufały, i do tego jeszcze prawie umierający. Ale w nim to wszystko razem trzymało się jakoś i nikogo nie wprawiało w zakłopotanie.

To powiedziawszy, mogę teraz mówić o jednej naszej wspólnej wyprawie w górę — bo nie była to prawdziwa górska wycieczka.

Tylko przedtem jeszcze o jednym muszę wspomnieć.

Mianowicie w tych wysokościach, śniegach i mrozach — poza skwarem w porach i miejscach słonecznych — jedna jeszcze rzecz była naprawdę zadziwiająca, to ciepło wnętrz.

Większość bowiem tutejszych gości sypiała przy oknach otwartych, a chorzy i we dnie, i w nocy mieli zawsze okna nie zamknięte. Tymczasem wszystkie korytarze, schody, sale i wspólne pokoje były tak rozkosznie ciepłe, że to wrażenie aż do dziś mi zostało. Nawet w tych pokojach, zawsze wietrzonych, wystarczało na kwadrans zamknąć okna, by od razu zrobiło się miło i ciepło.

Nad radiatorami zawsze kołysało się i migotało powietrze, i cały hotel ział ciepłem, pomieszanym z mroźnym zapachem śniegów i mdlejącą wonią goździków i róż.

13

Otóż poszliśmy kiedyś z panią de Carfort i panem Tockim do pewnego miejsca w górach, skąd widać było Leman.

Wspinaliśmy się pod górę, a góra była taka stroma, że po prostu dech zapierało. Szło się zakosami tu i tam wąską drogą, wyślizganą saniami i nartami.

Stawaliśmy, sapiąc, i oglądaliśmy się za siebie. Ach, każde sto kroków objawiało nam inne czary. W mrozie trzeszczącym, ponad wysokimi, przez trzy dni padającymi śniegami, toczyło się niebem głęboko niebieskim przepyszne tutejsze słońce. Jeden mały obłoczek znowu uczepił się szczytu Chamossaire, ale tkwił tu teraz przez parę godzin bez ruchu, tak spokojne było powietrze. Białe szczyty i grzbiety, zwłaszcza w stronie północnej, były ostro naświetlone i odstawały wyraźnie od niebieskiej ciemności nieba, posypane śniegiem sypkim i świecącym, jak cukrem. Lasy świerkowe, nabite, napchane tym śniegiem, całe opuszone, też na grzbietach odstawały od nieba, jak w spektroskopie. A wszystkie doliny i stoki, i wnęki były wyraźnie granatowe — wobec tego nadmiaru blasku i światłości.

Skrzypiało pod nogami, ściskało w nosie. Szliśmy teraz lasem, i każde drzewo, ubielone, obarczone śniegiem, dołem wrośnięte wieloma gałęziami w jego zwały, górą pozlepiane z innymi drzewami, warte było widzenia. Mniejsze krzaki, przydęte po czub, wyzierały z wałów śniegowych jedną czarną gałązką.

Znowu stawaliśmy, sapiąc, i znowu — poprzez archi-

tektoniczne łuki, szerokie, spokojne „światła“ między drzewami — oglądaliśmy ten sam obraz, tylko wspanialszy, rozszerzony, z dolinami wciąż dalej zapadającymi w głąb.

Szliśmy jednym bokiem drogi, coraz bowiem przemykali koło nas w szalonym pędzie narciarze, lecący w dół, albo małe sanki. Bobsleje startowały niżej, gdzie droga była szersza i nie tak urwista.

Minęliśmy, dysząc, jakby ciężko pracując, tory sportowe, a droga nie kończyła się jeszcze. Szliśmy głębokim śladem jakichś ciężkich, szerokich płóz — jakby od naszych chłopskich sani. Ale pośrodku nie było widać śladu końskich kopyt, tylko odciski podkutych, wielkich bucisk sportowych.

Las ciągnął się tylko w dół. Na prawo od drogi nic już nie było, tylko goła białość pochyło leżących śniegów.

Jeszcze z pół godziny szliśmy tak, brzegiem lasu, przystając i śmiejąc się ze zmęczenia. Między śladami płóz śnieg załamywał się teraz, jak lód. Ale twarde od mrozu powietrze gór dodawało nam siły. I znów szło się, nie czując wysiłku, wyciągając ze śniegu nogi, zapadające wyżej kolan.

Dosięgliśmy wreszcie małej wyżyny, kończącej się jakby krawędzią. Ale do tej krawędzi był jeszcze dobry kawałek drogi.

Z boku, na brzegu lasu, kończyła się nasza droga. Tutaj, przysypane śniegiem, leżały stosy pociętego drzewa w sągach, a przy jednym z nich stały w nic nie zaprzężone duże sanie, które dotąd wyznaczały nam drogę. Stary, siwy i wielki człowiek ładował na te sanie drzewo.

Pan Tocki namawiał, żeby iść dalej po tym śniegu. Ale drwal, widząc nasze wahanie, powiedział, że tu niedaleko można przejść do miejsca, skąd także widać jezioro. Pan Tocki nie był temu chętny, ale ostatecznie poszliśmy za tym starym człowiekiem.

Wpadliśmy w śnieg doprawdy po pas, ale rzeczywiście tędy było bliżej. Dobrnęliśmy wreszcie do jakiejś niziutkiej, wystającej ze śniegu bariery.

Stanęliśmy, patrząc.

W dole ujrzeliśmy niebo zielone między chmurami, a poniżej inny amfiteatr gór. I poprzez ciemne, rozwiane strzępy chmur głęboką z bliska, słońcem zalaną, brunatną dolinę i jasne pośród niej, rozległe, idące w dal na prawo jezioro — jak płat stężałego światła.

I rzeka, uchodząca do jeziora, jej brzegi, obrysowane ciemno, i jej ujście — wszystko było wyraźne i nierzeczywiste, jak na mapie plastycznej.

Człowiek z siwą brodą odszedł już od nas do swej pracy — zażenowany i zdziwiony, gdy dostał jakąś zapłatę. My zaś staliśmy jeszcze, patrząc na cały ten świat w dole, na tę żywą mapę, pociętą drogami i smugami drzew, zasypaną miasteczkami, której skala zmniejszała się nagle, gdy odejmowaliśmy lornetki od oczu.

Wreszcie było już tego dosyć i należało wracać. Zawróciliśmy więc, rozglądając się niedbale po bliskich stokach, lasach i pochyłościach.

Nic tu nie było oprócz ciszy, głuszy i dzikości. Nad jakąś gołą pochyłością, objętą wałem lasów, krążyło parę szuk, cicho skwirząc.

Patrzyliśmy z góry, bo coś nas jednak zastanowiło. Nie tknięty gdzie indziej śnieg był na tej odludnej polanie porysowany niebiesko — najwyraźniej przez ślady ski, ale zupełnie inaczej niż na zwykłych torach narciarskich.

Tak, było tam coś na tym białym płacie wśród lasów — jakby narysowane. Olbrzymie jakieś litery dziwacznego napisu. Któż tam mógł się dostać przez te lasy i po co?

— No właśnie! — powiedział nagle pan Tocki swym cienkim, zirytowanym głosem i po prostu odszedł od nas w stronę drwala, jak by się o coś obraził.

My zaś, oswoiwszy się nieco z oglądanym zjawiskiem, odczytaliśmy litera za literą ten napis gigantyczny, wyryty mozolnie płozami ski na śniegu.

Biegł zupełnie na ukos od nas, w dół, ku dolinie. Pierwsze litery były olbrzymie, a następne zmniejszały się cokolwiek. Nie były połączone ze sobą, więc pooddzielane — skokami, nawet kropka nad „i" i znak nad „è". Ostatnia kropka stała daleko i osobno, podobna do gwiazdy i wielka pewnie, jak pół pokoju. Napis oznaczał imię świętej patronki pani de Carfort: Geneviève.

Pani de Carfort odwróciła się pierwsza, zaczerwieniona i pochmurna. Nawet tutaj, wśród śniegów, w białej, włóczkowej czapie, podobnej do turbanu, i w brązowym trykocie w złote i szafirowe zygzaki, nie przestawała wyglądać na wschodnią księżniczkę.

Wracaliśmy w stronę widocznych już sani i rozmawiającego z drwalem pana Tockiego, nic nie mówiąc. Tak, to nie był właściwy sposób manifestowania swoich uczuć, chociaż rzeczywiście niewiele osób mogło się domyślić, kto to zrobił i o kogo tu chodzi. Ale właśnie my należeliśmy do ich liczby. I pani de Carfort doznawała widocznej przykrości i nawet upokorzenia — tym bardziej może, żeśmy właśnie nie mówili nic, wszystko wiedząc.

Ale cóż mieliśmy mówić. Ta niesmaczna mieszanina romantyczności i sztubactwa właśnie była bardzo charakterystyczna dla pana Tockiego.

Stary człowiek naładował już swoje sanki aż po wierzch i jeszcze powiązane większe kłody uczepiał na lince z tyłu sani.

Wyobraziliśmy sobie, że jest z tej najbliższej chaty, którą zostawiliśmy, idąc tu, daleko w dole, i że wybrał się tutaj po drzewo dla siebie. Było jednak inaczej. Ten staruszek zarabiał wożeniem drzewa na opał do klinik, które leżały najniżej, dwa razy dalej niż nasza willa.

— I co dzień tak jeździcie? — zdziwiliśmy się, mając na uwadze stromiznę drogi i wiek tego człowieka.

— Co dzień — odpowiedział. — Dziś jestem już na górze czwarty raz.

— Czwarty raz. — To już naprawdę wydawało się nie do uwierzenia. Ale on miał nadzieję jeszcze raz obrócić.

— Ça m'fatig'pas beaucoup — powiedział. I uśmiechnął się, przyjmując papierosa.

Sadowił się starannie, niemal pieczołowicie na niziutkim przedzie sani, w wielkim cieniu swoich plonów, zupełnie mały pod tym stosem drzewa.

Pokazał nam ciężkie, podkute ćwiekami swoje buty. Gdy zjeżdżał w dół, gnany całym tym ciężarem, na nich wytrzymać musiał napór pędu, który inaczej mógłby go ponieść i zdruzgotać.

Pogrzebał tymi butami — i sanie ruszyły z miejsca. Ze skrzypieniem, chrzęstem i chrobotem drzewa i śniegu w jednej chwili znikł nam z oczu razem ze swoim wielkim, ruchomym, żywym stosem drzewa.

Znikł — i w myśli mojej przeobraził się od razu w to rozkoszne, kołyszące się i migocące ciepłe powietrze sponad radiatorów.

14

W porze gdy zwykle w willi naszej składało się wizyty, wybrałam się znowu do miss Nory. Dzień był niepogodny, edredon z mgły wisiał przed każdą galerią — i panna Nora leżała zwyczajnie w pokoju, w łóżku i pod kołdrą. Znowu była trochę mniej ładna, ale na oczach nie miała binokli.

Przy łóżku stał okrągły stolik z białą, haftowaną serwetą, a na nim wazon z różami, czarna kawa w maszynce i butelka likieru.

Miss Norah nie była sama. Po drugiej stronie stolika siedział pan Carrizales.

Tym razem na jej kwiecistej kołdrze nie było wcale książek. Wszystkie, ułożone w stos, leżały obok, na marmurze szafeczki.

Ach, jakże głośno i wesoło śmiała się miss Norah, gdy pan Carrizales, ze swym zwykłym zapałem i gestykulacją, mówił o piękności Hiszpanii. Pannie Norze tak okropnie trudno było go zrozumieć — bo, posługując się niby to francuszczyzną, mówił przecież żywcem po hiszpańsku.

Ze swej strony miałam jednak wrażenie, że pomimo tych trudności całkowicie się już porozumieli.

Pan Carrizales — żywy, rasowy, egzotyczny — piękniał jeszcze od tych imion i dźwięków czarodziejskich. Usiłował odtworzyć nam jakoś istotny urok Alhambry albo dzikość swych sierr, albo obchód Wielkanocy w Madrycie, gdy kobiety ze wszystkich sfer nakładają strój narodowy i, zakwefione w czarne koronki, ze słonecznych placów wchodzą w mroczne nawy kościołów.

Miał rzeczywiście sposoby, aby pomimo wszystko uczynić się zrozumiałym.

Wypiwszy swoją kawę, uznałam, że właśnie teraz mogę już odejść. Ale nie pozwoliła na to miss Norah.

Weszła jeszcze pani Malden i też dostała kawy i likieru. Za to gdy przyszła panna Hovsephian, kawy już zabrakło.

Mówiło się znowu o tej nie znanej mi, młodziutkiej i ciężko chorej pannie Sossé, Armence. Panna Sossé tłumaczyła piosenki armeńskie, sama także pisze. Byłoby naprawdę dobrze, gdybym to zobaczyła.

Zawsze tak o niej mówiono: panna Sossé albo: mała Sossé, jak o miłym dziecku. Każdy interesował się jej zdrowiem.

Wieczorem, przechodząc koło jej drzwi, mijałam zaw-

sze w korytarzu rząd stojących na ziemi azalii, róż, cyklamenów, które na noc wynoszono z jej pokoju.

Panna Hovsephian powiedziała po prostu, że ta mała Sossé sama prosiła, żebyśmy ją koniecznie odwiedzili.

— Ona nie wstaje z łóżka już drugi rok. Jest nie tylko chora. Może nie jest tak źle z jej płucami — ale cały jej organizm jest jakby bez żadnego instynktu życia. I ona wyjechała z Turcji, uciekając przed rzeziami, jako dziewczynkę wywieziono ją do Genewy, na pensję. Zanim jednak wyjechała — już coś widziała. Tylko z nią nie można wcale o tym mówić.

— Tak, tak — powiedziała miss Norah. I, śmiejąc się, mówiła: — Teraz już dawno jej nie widziałam, bo ani ona nie może do mnie przyjść, ani ja nie mogę pójść do niej. Ona nigdy nie schodziła na dół, nigdy z innymi nie siedziała przy stole. Gdy doktór pozwoli jej wstać i przejść przez pokój, ona mdleje. I nawet nie jest przecież taka chora...

Umawiałam się z panną Hovsephian, że tam pójdę. A tymczasem Carrizales pokazywał tamtym paniom jakiś magazyn hiszpański z pięknymi ilustracjami. Były tam twarze aktorek, generałów i torrerów. A dalej zdjęcia z pola bitew w Maroku. Carrizales objaśniał nam to wszystko i znowu wpadł w swój zwykły, pełen uroku zapał.

— Czy panie wiedzą, czego oni chcą — ten Abd-el-Krim, czego chcą ci Riffeni? — pytał z przepysznymi, płonącymi oczami. — Oni przecież chcą — niepodległości!!

15

Z całej naszej osady najwyżej stał hotel Palace, był najładniejszy i największy. Wiedziało się o nim, ale był właściwie niewidzialny. Dopiero na spacerach i na wycieczkach można było zobaczyć czasami kawałek jego dachu albo jedno wyższe skrzydło, a wieczorem wielką ponad lasem łunę świateł, bijących z wszystkich okien.

W jego sali, zwanej Jardin d'hiver, urządzano koncerty, widowiska i zabawy. Można było tam dojść piechotą, wspinając się po urwistych, zakosowych ścieżkach — i zawsze wyglądało to tak, że się zabłądziło, bo nic nie świadczyło o bliskości ludzi. Już wchodziło się po schodach, stromych jak drabina, ułożonych z kamieni na zboczu leśnym, a jeszcze miało się wątpliwości. Nagle na końcu tych schodów ukazywał się rozległy, głęboki taras, objęty młodymi uśnieżonymi świerkami, a w głębi, oparty prawie o wielopiętrowe, skaliste urwisko, wznosił się ten pałac — wielki i szeroki — jasny, cały oszklony, z wielkim wejściem ze szkła, z granatowym u drzwi, tłustym służącym, pokrytym złotymi guzikami.

A można też było dojechać tam małą, znajomą, nadąsaną kolejką elektryczną.

Zawsze cichym mruczeniem protestująca, mijała naszą stację i od razu pogrążała się w mrok tunelu. Wiekuiście płonące na skalistych ścianach płaskie szarotki elektryczne były tylko po to, by lepiej uwydatnić tutejsze ciemności. W tych mrokach wspinała się stromo ku górze, powolna i posłuszna, jak zwierzę, ale niezadowolona.

Wynikała wreszcie niespodzianie na jasny świat właśnie z tej olbrzymiej, wielopiętrowej, zupełnie pionowej ściany skalnej, na której wierzchu, pod samym niebem, stał mały, czarny, uśnieżony las świerkowy.

Tuż naprzeciwko małej stacyjki, gdzie wysiadaliśmy, wznosiła się tylna ściana Palace'u, niższa tutaj o dwa piętra niż ściana frontowa. Mostkiem nad próżnią przechodziło się od razu na drugie piętro i do sali trzeba było schodzić niżej.

Rozległe przedsionki, korytarze, halle, sale do czyta-

nia, picia herbaty, słuchania radia, bogata biblioteka i czytelnia, sala koncertowa — wszystko zastawione było roślinami, pełne światła i przestrzeni. Niewidzialne rury utajonych radiatorów rozprowadzały w tym przybytku rozkoszne ciepło, gdy za wielkimi szybami trwała zastygła w mrozie i śniegach górska noc.

Wał lasu pod tarasem zasłaniał widok na zbocze, zasypane willami, płonącymi zawsze wieczorem, jak bukiety światła. Nie widać było nic, prócz rozległych przepaści, mroków leśnych i groźnych w księżycu grzebieni gór. Nasycone sinym światłem, twarde niebo z ruchomymi obłokami zamykało cały ten świat. Miało się tu złudzenie całkowitego odcięcia od życia, groźnego zagubienia i samotności. A wielki, o tysiącu pokojach, hotel roił się od turystów z całego świata.

Było coś naprawdę niesamowitego zastać w tym dzikim miejscu, na wysokościach, tyle ciepła, dostatku i wykwintu.

Filary stiukowe dzieliły salę na zakątki, wiszące liście palm osłaniały te zacisza. Wokół stołów czekały fotele różnych kształtów, mogące dogodzić wszelkim chęciom wypoczynku. Miła muzyka fortepianu, dwojga skrzypiec i wiolonczeli dawała jakieś zatrzymujące dech upojenia. Można było myśleć, że życie jest piękne i wielorakie, że można by żyć długo i zawsze być szczęśliwym.

Miałam przy sobie pannę Hovsephian, a dalej panią Saint-Albert. Było nas dosyć dużo znajomych, oprócz zwykłych jeszcze dwie miłe Rosjanki, od których pan Tocki trzymał się z daleka, blisko zaś trzymał się Carrizales. Słyszałam, jak pan Peynirian opowiadał poważnej i nieśmiałej pani Malden o różańcu z odciętych piersi kobiet armeńskich. Pan Saint-Albert siedział obok pani de Carfort, która, jak zwykle kobiety zupełnie piękne, mniej ładnie wyglądała w kapeluszu modernizującym jej

egzotyczną głowę. Za to twardy profil pani Saint-Albert zyskiwał w ramie małego hełmu z czarnego jedwabiu.

Pan i pani Vigil, młode małżeństwo angielskie, zziajani całodzienną wycieczką, leżeli prawie w dwóch olbrzymich, owalnych, skórą okrytych fotelach. Grano jakiś stary taniec francuski. Światła elektryczne z lamp owiniętych jedwabiem świeciły przyjaźnie. Ciepło spokojne, wszędzie jednakowo natężone, rozmarzało i pieściło.

Pani Saint-Albert cicho odpowiadała na zapytania Armenki. Gdy umilkła muzyka, usłyszałam takie słowa:

— Nie patrzę się na życie, o g l ą d a m s i ę z a n i m.

Powiedziała to z naciskiem, głosem suchym i twardym, jak jej rysy.

— Na żadne złe skonstatowania nie ma właściwie ratunku — ciągnęła ciszej, patrząc na świecącą powierzchnię stołu. — Z niczego już nie można się poprawić, nic nie da się zmienić. Teraz już wiadomo, że to tak miało być, nie inaczej.

Zobaczyłam, że rozmawiający z panią de Carfort pan Saint-Albert spojrzał nagle ku swej żonie nie ze zwykłą czułością, ale raczej z niepokojem. Ale ona tego nie zauważyła.

— Tak, jest to po prostu straszliwie zawiedziona ciekawość, otrzymanie wreszcie odpowiedzi na wszystkie pytania zadane życiu. Oto tyle i tak — nic więcej i nie inaczej...

Przyniesiono nam herbaty, tortów i ciastek. Pan Vigil pił cocktail i namawiał na to swoją żonę.

Ten barczysty, mocny i wesoły Anglik był cały niejako naszpikowany ołowiem. Miał różne dziwne ślady na twarzy, skroniach, nawet na jednej powiece. Widzieliśmy jego radiografię, gdzie wokół nagiej czaszki z oczodołami, obojczyków i ramion tkwiło mnóstwo białych plamek ołowiu.

Jego towarzysz na polowaniu na króliki puścił weń z odległości paru kroków cały ładunek śrutu. Opowiadał nam nie bez chluby, że po ośmiu miesiącach leżenia pierwszą jego wyprawą było polowanie na króliki. Pani Vigil potakiwała, że to istotnie jest prawda i że to właśnie taki jest ten jej mąż.

Przestano grać. Ale nikt jakoś nie ruszał się z miejsca. Do obiadu było jeszcze dosyć czasu. Przy innych stolikach prowadzono dalej półgłośne rozmowy. Na okrągłych kanapach siedziały młode dziewczęta z krótkimi grzywami włosów, odziane tylko po kolana, dziwnie wymowne i wdzięczne jawnością cienkich, wesołych, różnie poustawianych nóg. Strasznie dużo było wszędzie teraz tych nóg kobiecych, prawie nagich, zawsze nieco jaśniejszych niż suknie. Trudno było uwierzyć — wobec ich wyrafinowanego, zbytkownego kształtu — że oto przed godziną, w grubych pończochach i butach, drapały się gdzieś po śniegu na górę lub twarde, z zesztywniałymi jak drewno ścięgnami, mknęły na ski.

Młodzi mężczyźni, rozwaleni w fotelach lub przysiadli poufale na poręczach, bawili się żartami kobiet. Starsze panie z robótkami i bezczynni panowie byli pobłażliwi i życzliwie sprzyjali młodym.

Po obu stronach długich zwierciadeł stały araukarie parometrowej wysokości. W wielkiej, przezroczystej od szklanych drzwi i okien sali, pod wysoki, sklepiony, kopułą z kolorowego szkła zakończony sufit sięgały najwyższe liście palm.

— Wstyd jest być starym — powiedziała nagle pani Saint-Albert.

Mówiła właściwie do panny Hovsephian, można więc było nic na to nie odpowiedzieć. Ale wszyscy, którzy usłyszeli te słowa, poczuli jakieś skrępowanie.

Skończyliśmy naszą herbatę i zabieraliśmy się do odejścia pośród ogólnego gwaru. I w tym gwarze jeszcze raz usłyszałam głos pani Saint-Albert.

— Jest to sprawa równie kłopotliwa, równie trudna towarzysko, równie wstydliwa jak ubóstwo.

16

Dwie Rosjanki, które były z nami na koncercie w Palace'ie, nie mieszkały w naszej willi, tylko przychodziły do nas na jedzenie i często na muzykę.

Nie miały ze sobą nic wspólnego, prócz języka, i może nawet nie bardzo się lubiły.

Starsza z nich, już blisko trzydziestoletnia, twarz miała zwiędłą i głęboko zatroskaną sprawami politycznymi. We wszystkich gazetach poszukiwała wciąż wieści z Rosji, komunikowała się z różnymi odłamami rosyjskiej emigracji, bolała nad ich upadkiem ducha i poprzez dystans gór i lądów patrzyła ustawicznie w głąb swej wielkiej, utraconej ojczyzny.

Nie mówiła o sobie nic. Ale było widoczne, że oprócz klęsk ogólnych doznała też jakichś osobistych. Była rozwódką czy wdową, kogoś z rodziny utraciła podobno w okolicznościach tragicznych. Ale, jak powiadam, przy jej smutnym i skrytym usposobieniu nic właściwie nie było wiadomo. Na ogół tylko w rozmowie z nią należało przybierać wyraz twarzy przyciszony i współczujący. Miała nazwisko niemieckie: Wogdeman.

W powierzchowności jej, błahej i pospolitej, jedna rzecz zatrzymywała uwagę i nawet budziła zastanowienie. To były jej oczy. Z twarzy szarej, z ust bladych, nawet ze spłowiałych włosów, ściągnęły jakby ku sobie i w sobie ześrodkowały całe natężenie barwy. One jedne były ciemne. Miały kolor brązowożółty, prawie rudy, zupełnie matowy. Objęte chudymi powiekami i stojące daleko od siebie, były nie tylko smutne i że tak powiem tęskne,

ale ponadto niesłychanie odległe. Patrzyła nimi zawsze najdalej, jak się dało. Jeżeli na spacerze — to na horyzont, jeżeli w pokoju, to przynajmniej za okno.

Druga Rosjanka, panna Alicja, w przeciwieństwie do pani Wogdeman odznaczała się wielką otwartością. Trudno doprawdy było czegoś o niej nie wiedzieć. Miała zresztą zaledwie dwadzieścia dwa lata i samo życie nie pouczyło jej dotąd o wartościach i przywilejach dyskrecji.

Była wysoka, szczupła i giętka. Zawsze widziało się ją niejako od razu, rzucała się w oczy już z daleka. Śmiała się szeroko pełnymi, powabnymi ustami, dając oglądać wiele przepysznych swoich zębów. Miała też duży czarny warkocz, którego nie mogła obciąć mimo sugestii mody.

Panna Alicja robiła koło siebie wielkie erotyczne zamieszanie. Wciąż tkwiła w okropnych jakichś rozterkach, w zatrwożeniu ustawicznym o swoje dobre imię. Zarazem jednak literalnie nie mogła znieść, by nic jej nie zagrażało.

Na szczęście, zagrażało jej coś zawsze. I jedynie ten ustawiczny niepokój zapewniał jej jakie takie ukojenie.

W momencie gdy znalazłam się au courant tych spraw, właśnie zażegnane zostało niebezpieczeństwo ze strony pana Curchaud, sąsiada z jej willi, który okazał się człowiekiem wcale niegodnym zaufania, który po prostu nie był dżentelmenem. Ale oto już wyłaniał się, jako zagadnienie niepokojące, pan Peynirian.

Panna Alicja zresztą na razie nie była jeszcze przerażona. Przeciwnie. Wysuwała nawet, jako dodatnią, okoliczność, że Armeńczycy w Turcji różnią się bardzo na korzyść od rosyjskich. Dobrze. Najchętniej w to wierzyłam. Ale pan Peynirian, przygnieciony swoim losem, rzucony tak daleko od swej „wielkiej fortuny" i zwłaszcza od swego baśniowego Damaszku, pod tym kątem widzenia wcale jakoś nie wydawał mi się interesujący.

Zaledwie się jednak obejrzałam, już o panu Peynirianie

nie było mowy. Nie mogłam nawet ustalić, czy zawiódł zaufanie, czy też nie był go w ogóle godzien. A panna Alicja pytała się, czy jest możliwe, aby pan Saint-Albert, tak młody i przystojny, mógł naprawdę kochać swą żonę, która jest tyle od niego starsza i nawet wcale nieładna.

Zorientowana już poniekąd tą jej wątpliwością, oto czego niespodziewanie wysłuchałam.

— Jestem w strasznym położeniu — mówiła z przejęciem panna Alicja. — Chodzi o tego Vianellego, Włocha, co często chodzi z Costą, ten czarny, dosyć gruby. Wczoraj dopiero się dowiedziałam, chociaż go co dzień spotykam, bo mieszka w tym samym korytarzu. Boję się wszystkiego, to jest taka szalona natura. Proszę tylko pomyśleć: Włoch! Kocha się we mnie, mówi, że podobałam mu się od pierwszej chwili. Zaproponował mi, więc poszliśmy razem na luges. Przyciskał mię trochę za bardzo, ale udałam, że tego nie spostrzegam, i umówiliśmy się na wieczór na dansing. Naturalnie wracaliśmy razem. Przyrzekał, że odprowadzi mię tylko do drzwi. A później, kiedy już byliśmy na górze...

No tak, naturalnie, i on nie był godzien tego zaufania, którego panna Alicja tyle miała w stosunku do świata. Jedynie jej stanowczość i nieubłagana surowość sprawiła, że wreszcie odszedł.

Mówił jej, że żadna dotąd kobieta nie zrobiła na nim tak silnego wrażenia. I panna Alicja uważała, że to jednak wiele tłumaczy.

— Ale, o Boże, przecież mógł ktoś posłyszeć!

Ta jej obawa była o tyle dziwna, że przecież mnie, która nie posłyszałam nic, panna Alicja sama opowiedziała wszystko.

Kiedy indziej wyznała mi, że jest bardzo zdenerwowana, bo miała już ostateczną rozmowę z panem Saint-Albert. Zaklinała go na wszystko, co ma świętego, żeby nie zwracał na nią uwagi, żeby jej nie kompromitował.

Przypomniała mu obowiązki, jakie ma przecież względem swej żony pomimo jej wieku. Z całą szczerością mówiła mu o swoim dziwnym wpływie na mężczyzn, którego tajemnicy sama zrozumieć nie może, ostrzegała przed niebezpieczeństwem, które w niej tkwi bez jej woli. Wreszcie błagała go już o litość nad nią samą, która tu jest bez rodziny, bez opieki, i prosiła, by jej nie gubił.

— Ale to jest twardy człowiek — dodała po chwili z żalem. — Musi być bardzo opanowany. Nie wiem nic, co w nim jest naprawdę. Przez cały czas nic prawie nie mówił, tylko uśmiechał się ironicznie. Ale doprowadziłam go przecież do tego, że wreszcie podziękował mi za moje przestrogi i przyrzekł, że z nich skorzysta. Czy pani myśli, że dotrzyma?

Zbyt mało znałam pana Saint-Albert, by mieć o tym jakieś zdanie.

I w ogóle muszę się zastrzec, że jeżeli powtarzam tutaj zwierzenia panny Alicji, to wcale nie dlatego, aby jej losy obchodziły mię tak szczególnie.

Nie jest nawet wyłączone, że co do samych faktów jestem niezupełnie ścisła w mej relacji, że może niekiedy mylę się co do osób, w grę wchodzących — chociaż słów panny Alicji słuchałam zawsze z najwyższą uwagą.

Ale to dlatego, że uderzało mię najbardziej to, co było wspólne wszystkim jej zwierzeniom, co powtarzało się typowo i nieodmiennie w każdym: pewien schemat niestałej równowagi między przegraną i zwycięstwem. Równie bowiem silna i nieodzowna była w niej potrzeba obudzenia namiętności, jak odniesienia nad nią triumfu.

Okoliczności najbardziej, że tak powiem, obciążające, sprawy natury najbardziej wątpliwej, w jej dialektyce przybierały odmienne kwalifikacje, miały swój wyższy sens i cel chwalebny.

Panna Alicja zastanawiała mię z tego właśnie względu, że w niej pewien paradoks natury kobiecej osiągał swój

wyraz jeżeli nie najdoskonalszy, to może po prostu najbardziej jaskrawy.

Oto któryś z mężczyzn — powiedzmy piękny Carrizales — pannę Alicję prześladuje. Raz tylko pozwoliła mu na schodach się pocałować i od razu Bóg wie co sobie wyobraził. Niedawno odprowadzał ją z koncertu i znowu na schodach ponowił swe próby. Z największym oburzeniem powiedziała mu, by sobie nie myślał, że zawsze mu się tak łatwo uda, jak za pierwszym razem. Ledwie go powstrzymała, że nie wszedł do jej pokoju. Właściwie nawet wszedł, ale tylko na chwilę. Od razu kazała mu wyjść. Ale przedtem, gdy już położyła się, będąc bardzo zmęczona, usiadł na jej łóżku, na kołdrze i korzystając z jej bezbronności zaczął ją całować. Przy tym mówił (i on także!), że żadna dotąd kobieta nie zrobiła na nim tak silnego wrażenia...

W tym miejscu narracja staje się zawiła i skomplikowana, tak iż nie potrafię nawet dokładnie tego powtórzyć. Jedno jest niewątpliwe, że tu dopiero zaczyna się właściwy triumf. Coś bowiem mianowicie w tych warunkach i koniunkturach było salwowane, jakiś posterunek, jakiś bastion ostatni się utrzymał, jakiś żer dla nieugiętej godności kobiecej się znalazł.

Trudno mi jest, jak powiadam, wdawać się w subtelności nieuchwytne tych chlub, ale to pamiętam z wszelką pewnością, że, gdy na stanowcze żądanie panny Alicji Carrizales wyszedł wreszcie z pokoju, ona zdążyła jeszcze powiedzieć te słowa: — Nie postąpiłby pan w ten sposób, gdyby pan mię szanował. — I odtąd Carrizales jej unika, nie śmiąc nawet spojrzeć w jej oczy...

Tak. Cały ten materiał dowodowy, który gromadziła przed mymi oczami, miał wykazywać właśnie odporność, właśnie niedostępność, właśnie nieprzejednaną dumę kobiecą.

17

Jednej niedzieli pomyśleliśmy sobie, że, wszystko jedno, pójdziemy zobaczyć, jak to tutaj wygląda. Chciała iść pani de Carfort, chcieli iść państwo Saint-Albert. I panna Alicja, usłyszawszy to, powiedziała, że przyjdzie także, tylko wpierw musi wstąpić do domu się przebrać.

Szło o tańce w restauracji hotelu Toscana, gdzie schodziły się na zabawę niższe sfery miejscowe — portierzy hotelowi, chłopcy od wind, dziewuszki ze sklepów i robotnicy z kamieniołomów.

Dla nas zresztą nie było to taką zupełną nowością, bo w tej właśnie Toscanie spędziliśmy parę pierwszych dni naszego tutaj pobytu.

Owo pierwsze schronienie nasze w tym kraju naprawdę było zadziwiające. Wchodząc do wnętrza mijaliśmy obszerną i zupełnie elegancko urządzoną salę restauracyjną, w której o każdej porze grała nieznużona pianola. Właścicielka całego przybytku, tęga, ognista, z gęstą, czarną grzywą Hiszpanka tańczyła tam ze swymi gośćmi — przed południem w szlafroku, w południe w jumprze, a wieczorem w barwnej i obnażonej jedwabnej sukni. Usługująca przy stolikach dziewczyna, Włoszka, z długimi złotymi kolcami w uszach i ze złotą przepaską na ciemnym czole, w chwilach wolnych od zajęć tańczyła obok swej pani. Wreszcie pan domu, młody, szczupły i spokojny Hiszpan, w tańcach udziału nie brał, tylko w drugiej sali obok grał z gośćmi w bilard.

Pod bilardem zaś bawiły się dzieci tej pary hiszpańskiej, dwóch czarnych chłopczyków o temperamentach spokojnych i oczach melancholijnych.

Gdy nie było gości, pani stała w negliżu przy wielkim oknie sali i, przez tiulową zasłonkę patrząc w białą dal gór, śpiewała ciepłym, soczystym głosem onestepy. Spokojny mąż zza bufetu w głębi akompaniował jej na mandolinie.

Tak upływało im to życie, można powiedzieć — „śpiewający".

Czasami tylko pani odrywała się od zajęć i na kwadrans znikała w kuchni, by osobiście przyrządzić jedną lub dwie potrawy z długiego szeregu wypisanych na karcie.

Pierwszego wieczoru ulegliśmy pokusie spróbowania tych dań. Jedno — to była po prostu zielona sałata z oliwą, ale drugie, gorące, dało nam dużo do myślenia. Był w tym ryż, groszek zielony, drobno pokrajana kiełbasa i kawałki ryby.

Gdy w najwyższym zniechęceniu zapytaliśmy, co to znaczy, Włoszka ze złotą przepaską i kolcami wyjaśniła, że to jest po prostu — olla podrida. I swymi miękkimi, czarnymi oczami spojrzała tak ujmująco, że to nam musiało wystarczyć.

Nie mając się gdzie podziać z powodu przepełnienia w hotelach i pensjonatach, przeczekaliśmy parę dni w tej atmosferze nie pozbawionej wdzięku, w pokoju umeblowanym wytwornie, z wieloma lustrami i nigdy nie zamiataną podłogą — pomimo że numerowa, usługująca nam, była Niemką. Ale tłumaczyła nam, że, zamiast sprzątać, musi swoją panią hiszpańską zastępować w kuchni, chociaż do gotowania się nie godziła i nie ma o nim pojęcia.

Do tego dziwnego miejsca zdecydowaliśmy się oto wybrać w jedno niedzielne popołudnie, by pośród ludzi tańczących przy nieubłaganej muzyce pianoli wypić herbatę z „toastami".

Tak się stało. Chociaż „toastów" nie było, tylko ciastka.

Weszliśmy w chwili, gdy nikt nie tańczył. Stoliki wszystkie były zajęte. Ale w głębi sali powstała z ożywieniem na nasz widok panna Alicja. Od samych drzwi

zobaczyliśmy ją jednocześnie wszyscy, tak była wysoka i żywa w geście, tak wyraźnie odstawała od tła w swej obcisłej, czarno-zielonej sukni i małym kapeluszu czarnym, nisko nasuniętym na brwi.

Była w towarzystwie pana Curchauda (chociaż wiadomo jej było o nim już wtedy, że nie jest dżentelmenem).

Poszliśmy w tę stronę, by skorzystać z jej zaproszenia i stolika.

Gospodarze lokalu powitali nas jak znajomych, a Włoszka wysłuchała naszych życzeń, zatykając za przepaskę roztrzęsione od tańca loki i po dawnemu patrząc ku nam ujmująco.

Gdy wszyscy zasiedli, panna Alicja znalazła się jednak u boku pana Saint-Albert. Ale nie zwracała na niego żadnej uwagi, mówiła z każdym po kolei, prócz niego. A wreszcie, przechylona przez stół, zajęła się wyłącznie owym panem Curchaud, dalej siedzącym.

Pan Curchaud przybył aż z Indochin, by spędzić dwa miesiące wśród śnieżnych szczytów tutejszych na sportach. Czterdziestka zepsuła mu już nieco doskonałe proporcje „championa“ tenisa i hokeja, lekka otyłość w pasie i karku odbierała wdzięk i swobodę ruchów. Mimo to pysznie tańczył i w obejściu miał wiele inicjatywy. Był gładki, wesoły, mówił chętnie i zajmująco. Jego młode jeszcze, czarne i ukośne oczy i zarysowująca się ponad czołem łysina nadawały mu niejakie podobieństwo do Chińczyka.

Mówiło się o opium i naturalnie o Farrerze. Więc jest tak, jak on opisuje, więc aż do tego dochodzą?

Pan Curchaud odnosił się do tego z pobłażliwością, po prostu uważał to za literaturę.

— Traktuje się to opium jako wielką aferę — mówił z uśmiechem. — W istocie zaś jest to niewinniejsze od alkoholu, z którego nikt przecież nie robi kwestii politycznej. Przede wszystkim upijać się naprawdę mogą tylko Chińczycy bogaci. Następnie złe skutki opium nie są dziedziczne, jak alkoholu. Szkodliwość nałogu kończy się na jego ofierze. Nowe pokolenie jest od niej wolne...

Pianola grała znów, i parę par tańczyło w małym polu, wygrodzonym przez rzędy stolików. Między nimi tańczyła też Hiszpanka z wysokim drabem, włoskim robotnikiem z kopalni. Zrozumiałam, czemu tak całymi dniami tańczy. Robiła to przepysznie — z zaciekłą, surową powagą namiętności, z twardym rytmem pełnych bioder, z muskularną sprawnością małych nóg. Lewą dłoń położyła płasko na karku tancerza, tuż pod włosami, prawą pociągała go w krąg rytmu dziwnymi targnięciami, nic nie roniąc z powagi swej i surowości.

Tańczyła ten pospolity, internacjonalny taniec, wykonywała te znane stąpnięcia i kroki w jakiś sposób swój własny i pomimo wszystko egzotyczny. Skradała się w ślad za swym przygodnym partnerem i pomykała wstecz, przechylała się na krótką chwilę ku niemu, by zaraz znowu targnąć go ku sobie — giętka i mocna, tęga i zgrabna, poważna i szalona.

Patrzyliśmy tylko na nią i o niej mówiliśmy. Doprawdy, była królową tej dymnej sali.

Gdy tańczyła, z drugiego pokoju patrzyło też na nią dwoje spokojnych jej dzieci, siedzących na podłodze w cieniu bilardu.

Tylko panna Alicja nie zwracała na nią uwagi. Wyśmiewała czegoś pana Curchaud — w tym sensie mniej więcej, że nie zawsze udaje mu się osiągnąć to, co sobie zamierzy. Radziła mu, żeby odważył się tutaj zatańczyć — i to koniecznie właśnie z „la patronne“.

— Jak tu jesteśmy, to już trzeba razem z nimi się bawić. Niech pan spróbuje, skoro ona tak dobrze tańczy...

Ale pan Curchaud nie chciał. Nie pociągał go wcale ten egzotyzm — jego, od kilkunastu lat mieszkańca dalekich kolonii.

Zamiast tego poprosił do tańca pannę Alicję, która oburzyła się na razie. Ale potem ze śmiechem powstała wreszcie i elegancką swą sylwetą wmieszała się w krąg tańczących.

Ledwo jednak wykonali parę taktów, gdy stojący dotąd za bufetem przy szafie z butelkami i na wszystko spokojnie dający baczenie Hiszpan rzucił się na nich, by ich rozdzielić. Ze zdumieniem patrzyliśmy na tę scenę, która prócz nas nie zdawała się dziwić nikogo. I tamci zaprotestowali z oburzeniem, że mają takie samo prawo tańczyć, jak inni. Ale ustąpili, gdy Hiszpan grzecznie wytłumaczył im, że policja nie pozwala, by tańczyło tu więcej par naraz niż cztery.

Powrócili ze śmiechem i niecierpliwie teraz czekali swojej kolei. A pan Curchaud znowu teraz mówił o swoich Indochinach.

— Tak, tak — zgodził się na jakieś powiedzenie pani de Carfort, dla której również bliskie były zagadnienia kolonii. — Zakaz palenia opium jest niemożliwy, zupełnie niemożliwy. To byłoby takie ekonomiczne wstrząśnienie państwa, jak jakaś rewolucja...

Zanim zaczęto na nowo grać, pan Saint-Albert pochylił się ku swej żonie i coś do niej cicho powiedział. Przez chwilę patrzył na nią z tym swoim niezrozumiałym, upajającym uśmiechem. Aż uśmiechnęła się lekko i ona i przyzwalająco skinęła głową.

Gdy zadźwięknęła pianola, pan Saint-Albert szybko wstał i zaprosił do tańca la patronne. Przyjęła ten zaszczyt z powagą i natychmiast dłoń swoją położyła na karku tego pana, jak przed chwilą na karku włoskiego draba, gestem zimnym jarzmicielki dzikich zwierząt.

Patrzyliśmy na ich przepyszny taniec znowu wszyscy — oprócz panny Alicji, która tym razem zdążyła z panem Curchaud zająć swoje miejsce w liczbie jedynie

dozwolonych czterech par — i sama narzucała się oczom naszym gracją swych póz i powiewną płynnością ruchów.

18

Muszę wyznać, że w tym czasie rozbawiliśmy się jakoś nadspodziewanie i koniec karnawału obchodziliśmy w sposób uroczysty.

Nikt zresztą niczego nie zamierzał i niczego nawet nie przewidywał. Po obiedzie rozeszliśmy się zwyczajnie, każdy w swoją stronę. A wieczorem, kiedy zabieraliśmy się już do snu, usłyszeliśmy przed północą dziwne jakieś drapanie do drzwi — jakby olbrzymiego szczura. Ja nawet się przelękłam, nie rozumiejąc, co to jest.

Po chwili zaskrobano jeszcze raz i potem jeszcze raz, już bardzo niecierpliwie. Wreszcie na wołanie „entrez" otworzyły się drzwi i weszła przez nie istota zupełnie sztywna, ubrana w cylinder i frak, ale z czarną pustką zamiast twarzy.

Była to kukła, na kiju wielkości człowieka, niesiona przez pana Esta, który za drzwiami zachrypniętym swoim głosem odśpiewał krótką piosenkę o księciu Karnawale.

Zdążył już po korytarzu uzbierać sporą gromadkę sąsiadów. I nas też gorąco zapraszał do zejścia na dół, gdzie ma się uroczyście odbyć mardi gras.

Sam był przebrany za apasza i wyglądał ogromnie brzydko z kędzierzawą, nie przygładzoną szewelurą, z cienką szyją, obwiązaną jakimś strzępem szalika, z twarzą bladą jak u widma. Miał na nogach nocne pantofle, a smoking nałożony bezpośrednio na białą jedwabną koszulę nocną.

W zabiegach organizacyjnych pomagał mu Carrizales, przebrany za toreadora we własną pyjamę.

W tym końcu cichego korytarza, nad poręczą biorących

tutaj początek schodów, stało kilkanaście dziwnych osób w białawym świetle mlecznego kinkietu, tłocząc się w ciasnocie i śmiejąc półgłosem, by nie obudzić chorych. Byli już zresztą i u panny Nory, i u małej Sossé, której drzwi tak łatwo można było rozpoznać na korytarzu po szeregu kwiatów, wystawionych z jej pokoju na noc.

Witaliśmy się ze wszystkimi na nowo, ponieważ stali się niejako nowi przez przebranie. Chociaż na przykład pani Malden wyglądała jak zwykle, a pani Vigil była po prostu w szlafroku z ciemnej, granatowej materii w złote gwiazdy i w złotej siatce na włosach — ale każdy zrozumiał, że to jest kostium nocy.

Za to naprawdę trudny do poznania był pan Tocki w za krótkim i za ciasnym dla niego kostiumie majtka — i wyglądał w nim jak chłopczyk. I zupełnie zmieniona, przez wspaniały strój markizy, była pani Saint-Albert — w wielkiej, siwej peruce i pięknych klejnotach.

Z głębi korytarza nadeszła jeszcze cudna, złocista sułtanka, w małych sandałkach i szerokich, przewiązanych w kostce pantalonach. Est zdjął przed nią nisko swój kaszkiet, na znak głębokiego uznania. Nie od razu uwierzyłam, że jest to pani de Carfort.

Nie od razu też zorientowałam się, że wielka postać Araba, w zawoju i białym burnusie do ziemi, zawiera w sobie pana Saint-Alberta. Nie jestem pewna, czy nie był po prostu owinięty w miękkie kąpielowe prześcieradło.

Mieliśmy już schodzić na dół, gdy nagle, zwabiony hałasem, ukazał się, biegnący ku nam szybko i cicho po schodach, brat właścicielki naszej willi, młody, wesoły i pracowity, przez wszystkich lubiany Charles. On to czuwał nad porządkiem całej instytucji, pomagał we wszystkim swej niedawno owdowiałej siostrze, rządził służbą, dbał o nasze osóbki przy jedzeniu i w potrzebie sam mógł wnieść ciężką walizkę na piętro.

Ujrzawszy, co się święci, podniósł ze zgrozą brwi w górę, a jego długa, zabawna, dziecinna twarz wyraziła najwyższe zgorszenie. Na razie próbował coś perswadować Estowi, ale ten pogroził mu butelką Asti, którą trzymał pod pachą. Na ten widok Charles w bezradnej rozpaczy chwycił się obiema rękami za głowę, usiadł na poręczy schodów i w mgnieniu oka zjechał po niej aż na sam dół.

Zręczności takiej nabył jeszcze, zanim został „le garçon d'étage", służąc jako majtek we flocie francuskiej. W jego to właśnie za mały marynarski strój przebrał się pan Tocki na wieczór dzisiejszy.

Za Charlesem zjechał też w dół i pan Tocki, ale nie po poręczy, tylko zupełnie zwyczajnie po wyfroterowanych schodach, siedząc niby na sankach i sunąc prawie bez wstrząśnień po tym tak niedogodnym torze.

Reszta towarzystwa zeszła na dół normalnie, nie napotykając żadnych przeszkód.

W salonie zastaliśmy już Charlesa w przebraniu boya. Uwijał się z serwetką w ręku i tacą, na której przyniósł nam wina i różnych słodyczy — ciastek, tortu i owoców. Nie było w tym wszystkim ani jednego pączka i ani jednego faworka.

Więc piliśmy to wino z kryształowych miseczek na nóżce, gryźliśmy suchą malagę i orzechy. Zabawa była pyszna — bez żadnego zresztą planu i sensu. Tocki i Est grali — tańczyliśmy trochę, ale krótko. Potem zaczęły się produkcje nacjonalne. Carrizales imitował walkę byków, przy czym zaprosił do tej walki jako byka pana Saint-Alberta, który chętnie się zgodził, pomimo że był właściwie Arabem. Ale naturalnie nie mogło się to dobrze udać, choćby dlatego, że nikt nie chciał udawać konia i pikadorów, oprócz jednego Esta. I Carrizales na wszelkie sposoby nam tłumaczył, że to nie daje żadnego pojęcia o rzeczywistości, która jest tak wspaniała. Potem Est tańczył taniec

apaszów, ale mu zaraz zabroniono, więc zamiast tego zadeklamował z przejęciem jakiś wiersz erotyczny po rumuńsku. Zaraz potem panna Hovsephian wypowiedziała balladę narodową w swoim języku — i objaśniła, że to jest bardzo ładne. Nikt nic nie rozumiał, ale wszyscy wysłuchali uważnie. Pociągała nas właśnie bezmyślność tajemnicza tych dźwięków, które dla tamtych zawierały całe niezmierne głębiny treści i niepojęte uroki.

Jeden tylko pan Tocki, nie mający żadnego zmysłu egzotyczności, nie znający nawet ani jednego słowa ze swego zapomnianego języka, oparł się tej sugestii.

— C'est horrible — powiedział z prostotą.

Skończyło się więc znowu na muzyce, która nie przeszkadzała rozmowie. I pani de Carfort — odmieniona i jakaś nierzeczywista w tym stroju sułtanki — opowiadała coś półgłosem o swoim Maroku. Tęskniła za nim, jak za drugą ojczyzną.

Tylko Est słuchał tego wrogo. Tak, dla niego byłoby lepiej, gdyby pani de Carfort nie miała swego wczoraj, gdyby zaczynała się cała dziś i kończyła jutro — tak jak miał się skończyć on sam.

W pewnej chwili, patrząc na tę zabawę, pomyślałam sobie o nich wszystkich, że są jak dzieci. Że są bez opieki, że są wystawieni na wszelkie niebezpieczeństwo. Tak sami, tak na siebie tylko zdani w tym obcym górskim domu wśród śniegów. Któż tu jest, kto by czuwał? Właścicielka tej szanownej, starej willi, wdowa po kucharzu, która spała już od dawna — czy mały Charles, który przeraził się niby nocnym hałasem i korzystał teraz z okazji, by sam się bawić.

Kto tu był odpowiedzialny za całość? Nikt.

Nawet pani Malden umyślnie poszła na górę po szydełko, by Est mógł robić swój jazz.

Zdarzyło się, że siedziałam teraz koło pani Saint-Albert, która wyglądała tak pięknie w siwej peruce i stylowej

sukni z różowego jedwabiu w bukieciki kwiatów, jak by przebrała się nie tylko w kostium markizy, ale jak by przebrała się na ten jeden wieczór w swoją młodość.

Powiedziałam jej o tym swym dziwnym wrażeniu, o tym niepokoju, gdy się tak pomyśli, że wszyscy — zdrowi i chorzy, młodzi i starzy — jesteśmy zbiorowiskiem lekkomyślnych dzieci, za które nikt nie jest odpowiedzialny wobec powagi życia.

Ona milczała przez chwilę, patrząc przed siebie i mrużąc oczy.

— Nie wiem — odpowiedziała. — Nie widzę życia. Oglądam się za nim, oglądam się za nim daleko wstecz — i nie widzę, nie mogę już zobaczyć...

19

Nagle zrobiło się ciepło. Znowu woda bębniła w rynnach, płynęła wzdłuż i w poprzek dróg, wylatywała w powietrze z rury, sterczącej nad naszą galerią i spadając obmywała ten dziwaczny, wrośnięty w gałęzie drzewa sopel lodowy, o którym pisałam, że był podobny do jemioły.

Kawałkami lasów, jeszcze białych w cieniu, szło się, jak zimą. Ale w miejscach odkrytych i słonecznych każdy myślał, że tym razem tak już zostanie, że będzie wiosna.

Tak pomyślały też pewno zięby — i tego dnia po raz pierwszy przyfrunęły tutaj na górę. Usłyszeliśmy je, jak śpiewały wszędzie tę swoją króciutką, zupełnie żywą, zawsze jednakową piosenkę — tak samo, jak w moim dalekim domu nad łąkami.

Świeciło słońce, choucas zjadły swoje śniadanie, miss Norah wołała do wszystkich: „dzień dobry”, a my wyszliśmy kupić gazety i kleju do nalepiania fotografii.

Po drodze mijaliśmy różne dobrze nam znane rzeczy i osoby.

Więc naprzód w dole na prawo płaskie dachy stojących tam willi i hoteli z wielkimi, z dala czytelnymi literami swych nazw na szczytach, albo nawet zupełnie w powietrzu. Wszystkie te Beau-séjoury, Beau-Site'y, Gentiane'y i Belvedery umiałam na pamięć i widziałam z zamkniętymi oczami — niedobrze nawet rozumiejąc naturę tej zażyłości, która mię z nimi wiązała.

Drogą w dole szła tam pod nami, zupełnie stąd malutka, panna Alicja — zdaje się z panią Wogdeman. A głębiej, już w pobliżu olbrzymich arkad, dźwigających wiadukt mruczącej kolejki, stali już na pewno Vianelli z Costą.

Teraz skręciliśmy za kościół i tamto na razie znikło, a najważniejszą rzeczą stały się wystawione na chodnik przed magazynem dwa słupy z pocztówkami, dające się kręcić. Wewnątrz, za szybą, pan Tocki kupował, jak zwykle, nuty.

Zaraz dalej, w miejscu gdzie też na chodniku stały na sprzedaż pęczki lasek, związanych jak rózgi liktorskie i spiętrzone pod ścianą saneczki i narty, powitaliśmy panią de Carfort z panią Malden.

Pani de Carfort zdążyła nam powiedzieć, że z panem Estem jest gorzej. Że z nim jest bardzo źle. I pożegnaliśmy się przed trzema szklanymi ścianami ciastek, u wejścia do najbliższego tea-roomu.

Później widzieliśmy za szybami zastępy swetrów i chandailów, później szeregi straszliwych bucisk alpejskich, później same motki wełny wszelakich kolorów. I wreszcie sklep ze szkłem i wazonami z holenderskiej porcelany, tym ważny, że miał przy wejściu dwie oszklone szafeczki. — Tam na płytkach lustrzanych mrowiły się nieprzeliczone malutkie szuki, wycięte z drzewa, pomalowane na szafirowo, czerwono, żółto, niebiesko,

w czarne paski i złote kropki. Były większe i mniejsze, ale wszystkie umyślnie nieproporcjonalne, z większymi od siebie, złotymi dziobami.

O ile tylko zatrzymałam się przed tą szafeczką, to już trudno mi było stąd się oderwać.

Tym razem podeszli do nas państwo Saint-Albert, i razem patrzyliśmy przez chwilę na te żałosne szuki. On śmiał się swoim wesołym, szczęśliwym śmiechem i wynajdywał w tych ptasich karykaturkach podobieństwa do ludzi. Tak, Carrizales miał rację, one są podobne do panny Hovsephian. Do panny Hovsephian — i jeszcze do panny Alicji.

Ja się zdziwiłam, bo jednak z panną Alicją szuki naprawdę nie miały żadnego podobieństwa. A pani Saint-Albert powiedziała, że każda szuka ma inny wyraz.

Potem zgodziliśmy się na jedno, że wygląda, jak by zaczynała się wiosna.

To wszystko, o czym mówię, miało miejsce po prawej stronie drogi. Po lewej zaś była tylko bariera — i za nią strome zbocze z kępami różnych drzew. A te znów wille i hotele, które minęliśmy przed chwilą, zrobiły się z góry płaskie i z kolei one pokazywały nam już tylko swoje dachy i złote, zawieszone w powietrzu napisy.

Między nimi była teraz i nasza willa, która stąd wyglądała tak samo jak każda inna. A tyle nam znany napis, umieszczony na boku, wydał mi się w pewnej mierze po prostu niedelikatnością.

Taka dziwna jest próżność człowieka, który każdy swój namiot, choćby najbardziej przelotny, uważa za środek świata.

W słońcu i kapiącej zewsząd wodzie szliśmy dalej pod górę, która szerokimi zakosami wspinała się ponad wciąż wyższe kondygnacje zbocza. W wielu miejscach wynurzyło się już spod śniegu błoto. Obnażone na zboczach gład-

kie płaty skał zrobiły się od wody bardziej czerwone, a obsychając na słońcu, różowiały znowu.

W pewnym miejscu drogi zobaczyliśmy, jak zwykle, tęgiego staruszka, pana Verdy, który aż do lunchu przechadzał się tutaj zawsze tam i z powrotem. Miał swoje, wyznaczone gołymi drzewkami alei odcinki — i co dnia musiał przejść pod górę dłuższy kawałek bez zatrzymania się i bez zadyszenia.

Tak sobie sam postanowił i nie opuścił ani jednego dnia bez treningu.

Pokazaliśmy sobie nawzajem swoje gazety i pomówiliśmy trochę o polityce. Tak, o tych Niemcach zawsze jeszcze dało się coś nowego powiedzieć. A w szczególności i niejako prywatnie — o naszym własnym Niemcu, panu Fuchsie.

Pan Verdy żartował tak:

— Mam szczęście dzisiaj, bo nie spotkałem jeszcze tej małpy, Fuchsa.

Pan Verdy miał swój franc-parler i lubił go zażywać. Pozwalał sobie na dosadność. Toteż, gdy zabierał głos przy stole, usta pani de Carfort już zawczasu powlekały się wyrazem cierpliwości i niesmaku.

Był to niewątpliwie dzielny i zacny staruszek. Znał się dobrze na winach i tytoniu i to wyglądało tak, jak by w ogóle znał się na życiu.

Dzisiaj pan Verdy też był zdania, że teraz to już będzie ciepło — i na tym się z nim rozstaliśmy.

Ale dalej spotkaliśmy państwa Vigil, wracających z wysoka — każde z nartami na ramieniu. Oni nie brali na serio tej odwilży i nic nie zmieniali w swoich zwyczajach. W górze był mróz i tory trzymały się doskonale.

I okazało się, że zięby nie miały racji.

Tego samego dnia po południu chmury okryły wszystko, wieczorem spadł ogromny śnieg, a nazajutrz obudziliśmy się pośród najsilniejszego mrozu, jaki tam w ogóle był.

Powietrze stało się nieruchome i dotykalne, jak szkło — od mrozu, słońca i białości; świerki z przywalonymi do ziemi gałęźmi stały bez drgnienia w cudownych, białych płaszczach. Niebo mocno niebieskie dawało twarde tło dalekim szczytom, jakby wydmuchanym ze srebra.

Słońce nagrzało śnieg po wierzchu i wieczorem zrobiła się na nim twarda skorupa.

Zięby siedziały na gałązkach, z których śnieg nie chciał się osypać, i smutnie recytowały swą lakoniczną piosenkę. Co miały zrobić, skoro tajemniczy nakaz instynktu nie pozwalał im już powrócić w doliny. Nie miały zupełnie co jeść w ten mróz i śnieg, który je tu złapał.

Na naszej galerii zawsze leżał chleb dla szuk. Jakże miałam w lesie tłumaczyć tym ziębom, że tam u nas jest jedzenie, jak im pokazać drogę?

Zdarzyło się przecież już po paru dniach mrozu, że jedna zięba zjawiła się u nas i usiadła na poręczy. Długo nie rozumiała, co to jest, nie oczekiwała takiego szczęścia. Wreszcie dziobnęła raz i odtąd już jadła bez ustanku chyba przez kwadrans. Jakże musiała być wygłodniała i zmarznięta!...

Odfrunęła wreszcie czymś spłoszona. Ale po chwili wróciła znowu jeść. I tego samego dnia przyfrunęła jeszcze trzeci raz.

Myślałam, że sobie to już widocznie zapamiętała, że nazajutrz powróci i przyprowadzi ze sobą inne zgłodniałe zięby.

Ale nie pojawiła się nigdy więcej.

20

Pan Verdy myślał naprawdę, myślał zupełnie poważnie, że Niemcy są jacyś inni, że są gorsi od wszystkich ludzi na świecie. To było coś, czego wcale nie trzeba było do-

wodzić, coś gotowego od razu, niewątpliwego dla instynktu i rozumu zarazem, aksjomat.

Od razu wtedy pomyślałam, że ta wiara musi mu być do czegoś bardzo potrzebna.

I tak było.

Pan Verdy był wielkim naszym przyjacielem. Lubiliśmy się naprawdę. Rozpytywał o nasz kraj tak szczegółowo, tak nawet serdecznie. Był ciekawy, ilu jest Polaków — i cieszył się bardzo, że tak dużo. Bo według ostatniej edycji Larousse'a liczba wszystkich mieszkańców Polski wynosi tylko piętnaście milionów.

Był to czas niemiłych dla Francuzów rozmów z Anglikami nad Lemanem. Czytało się codziennie długie szpalty relacyj o tym w gazetach. Byliśmy zupełnie jednomyślni w naszych troskach i niepokojach.

Pan Verdy nie lubił też Anglików i tę niechęć przenosił bez wahania na dobrotliwą panią Malden, na wesołych i sympatycznych państwa Vigil. Ale to było niczym wobec tego, jak nienawidził Niemców.

Tak, Niemcy to byli już doprawdy ci najwięksi, wspólni wrogowie. To nas poniekąd bratało z panem Verdy, byliśmy bliscy tą nienawiścią. I stawało nam tej nienawiści za wszelkie inne racje i motywy przyjaźni.

Musiałam naturalnie godzić się na wszystko, co mówił. A przecież jednocześnie nie mogłam oprzeć się tej myśli, że braterstwem dwóch narodów to jest to właśnie, że będą razem przeciw trzeciemu.

I wtedy niemożliwe wydaje się braterstwo wszystkich narodów, braterstwo ludów. Bo przeciw komu?

Ale nie mówiłam o tym panu Verdy, by mu nie robić przykrości. Bo rzeczywiście interesował się Polską tak gorąco, jak mało kto z życzliwych nam tutaj znajomych.

Aż wreszcie zapytał:

— No, a tak, gdyby stało się to, czego oni tak chcą,

gdyby Francja była wciągnięta — to ile mniej więcej Polska mogłaby wystawić wojska?

Nie było mi przyjemne to pytanie. I po raz pierwszy zimno i niechętnie odpowiedziałam panu Verdy, że tego wcale nie wiem.

Ale później zrozumiałam to wszystko. Zrozumiałam, do czego potrzebne było panu Verdy, aby Niemcy byli najgorszym narodem na świecie.

Kiedyś znowu spotkaliśmy go w zwykłym miejscu na drodze, gdzie odbywał swój trening. Nie zrobił tego dnia większego kawałka bez zadyszenia. Przeciwnie. Po zupełnie małym kawałku sprzed tygodnia stracił oddech i musiał nawet usiąść na ławce. Był zdenerwowany.

Powiedział nam, że tę drogę, te widoki, te góry pamięta ze swej młodości. Jako student spędził tu pół roku na kuracji i wyleczył się zupełnie. Od tego czasu minęło przeszło czterdzieści lat.

Pokazywał nam ręką i mówił:

— O, tutaj nie było wtedy nic, tylko goła góra i las. Gdzie teraz stoi hotel Palace, był malutki pensjonat, po prostu szalet drewniany. I tam na dole kilka pensjonatów. Pod górę jechało się od jeziora szosą, omnibusem, a hotel był tylko jeden, teraz też zupełnie przebudowany. Nigdy nie poznałbym tego miejsca — bo nawet te góry tam wydają mi się już nie takie same...

Tegoż dnia po obiedzie pan Verdy przyniósł nam na dół fotografię swoich wnuków. Dwóch ładnych i ładnie ubranych, prawie jednakowych chłopczyków z przyciętymi włosami i kokardami przy kołnierzykach; dwóch chłopczyków, jakich jest mnóstwo zupełnie takich samych na świecie. Ale ci dwaj — to były właśnie wnuki pana Verdy.

Popatrzyliśmy i powiedzieliśmy to, co było trzeba.

— Są sierotami — rzekł pan Verdy po chwili.

Zrobiliśmy twarze ze współczuciem.

— Mój syn nie żyje, mój jedyny syn...

I wysłuchaliśmy jeszcze jednej opowieści, jak oto na zew ojczyzny zostawił prosperującą fabrykę, jak pożegnał rodziców i żonę, i tych dwoje dzieci, jak nikt nie przeczuł, czy też może właśnie każdy trochę przeczuwał — i jak syn pana Verdy nie wrócił już znad Marny.

Jak ze staruszką żoną jeżdżą co roku daleko na jego grób, jak oto właśnie uzyskano już teraz możność ekshumacji i przewiezienia zwłok...

Innymi oczami patrzyłam teraz na tego starego człowieka, który znał się na tytoniu i napitkach, który lubił pożartować, który nie żałował sobie w życiu. Jego wypukłe, brunatne oczy powleczone były łzami i nierówny rumieniec okrywał wygolone policzki i czoło.

Tak, stracił jedynego syna, bo pozostały tylko córki — stracił syna, który już był objął zarząd fabryki, który dał mu zażyć słodyczy odpoczynku, zapewnił starość spokojną. Gdy teraz...

Pan Verdy był zdrów do śmierci syna. Dopiero potem stracił zdrowie — i dlatego przyjechał znów aż tu.

Rozumiałam teraz. Jakże mogliby zamordować mu jego jedynego syna Niemcy, gdyby nie byli najgorszymi wśród narodów. Jakiż sens miałaby ta śmierć, gdyby to byli tacy sami jak inni, zwyczajni ludzie, gdyby śmiertelna walka z nimi nie była prawem najwyższym i ostatecznym, gdyby naprawdę nie była nakazem Boga?

21

Najmłodsza z tutejszych wygnanek armeńskich, panna Sossé, miała jednak dwadzieścia dwa lata. Ale w głębinach łoża, wychylająca się spośród puchowych poduszek i edredonu jej ciemna główka wydawała się jak główka dziewczynki.

Od wielu miesięcy zamieszkiwała to swoje wielkie łoże, jak domek, w sposób skrzętny i gospodarny. Pod poduszką miała dwa elektryczne guziki i, prawie się nie poruszając, mogła zadzwonić, a także zapalać i gasić światło w całym pokoju.

Ten pokój, otwarty wielkim oknem na piękność tutejszego świata, pełen był kwiatów, książek i różnych gratów do zabawy. Duże i małe lalki z jedwabiu, psy, małpki i diabełki wisiały na gumkach i sznurkach nad łóżkiem, by łatwo było ich dosięgnąć.

Blisko na półce miała teki z reprodukcjami, fotografie ludzi, krajów i obrazów.

Książki, których czytała masę, nie mogły wypełnić wszystkich godzin dnia i nocy. Więc leżała nieraz długo sama, obracając w palcach jakąś figurkę, lalkę czy obrazek. Czasami były to małe szuki, z kolorowego drewna, z za dużymi dziobami, czasem brzydki kot z porcelany, czasami, też porcelanowe, malutkie, gołe niemowlę.

I tak się jakoś sama umawiała, układała i godziła ze swoim losem.

Dużo naprawdę przeczytała w swym życiu tak krótkim — i od tego czytania wyszlachetniała, wydelikatniała, zmądrzała ponad wiek.

Dużo także zapewne przeżyła — i coś z tego zapamiętała zbyt dobrze, coś straszliwego. Wiadomo było, że przy silnej gorączce, w deliriach, oglądała jakąś jedną, sobie wiadomą, potworną wizję, która napełniała ją przerażeniem i rozpaczą.

Jej rodzina mieszkała w Persji. Byłam teraz świadkiem jej dziwnego szlochu bez łez, gdy dostała list od matki, której nie widziała dziesięć lat.

Wszyscy ją lubili. Często mówiło się o niej — zawsze nieobecnej tam, między nami. Była od dawna chora, ale wciąż wierzono w jej wyzdrowienie. Co pewien czas miała gwałtowne nawroty wysokiej gorączki. I polepszenie, osiągnięte całymi miesiącami kuracji, przepadało w ciągu paru takich dni.

Jej młodość, jej dziwny urok urzekał mężczyzn i kobiety. Panna Hovsephian, pani de Carfort, pani Saint-Albert przychodziły tutaj z nowinami i opowieściami, pokrywając wesołością żal, ściskający serce, i trwogę. Pan Tocki — zawsze ironiczny i zaczepny — wobec niej używał zupełnie innych słów, był miły i łagodny. Pan de Flèche przekomarzał się z nią głosem, który drżał od uczucia najgłębszej tkliwości.

A ona rozwierała trwożnie oczy jasnobrązowe, biorąc na serio różne żarty i pretensje, broniąc się przed zarzutami, w które nikt nie wierzył.

Miała wdzięk, który w tej mierze i w tym napięciu rzadko staje się udziałem ludzi. Każde słowo rzeźbiła dykcją jakoś po swojemu, ubierała dziwną melodią głosu, cichego i śpiewnego. Mówiła smutnie i zarazem żartobliwie, z kapryśnym uśmieszkiem małej kobiety, która już bawiła się uczuciami. I mówiąc rozwierała szeroko oczy bursztynowe, patrzące na ludzi ze zdziwioną, lękliwą słodyczą. Tym spojrzeniem radosnym i zatrwożonym witała każdego, kto wchodził.

W jej pokoju, pełnym kwiatów, zabawek i ludzi, zatopionym złotawą światłością lamp, owiniętych jedwabiem, było pogodnie, miło i uroczo.

I wśród tak zorganizowanej, dobrodusznej naiwności i swobody, mającej zbagatelizować całe zagadnienie młodości i śmierci, wobec jej dziecinnych, małych dąsów i grymasów — właśnie powiększała się, właśnie olbrzymiała wiadoma wszystkim prawda.

Tak, przyjaciele przychodzili wiernie, zjawiali się zawsze na te krótkie godziny między porą repos complet i porą obiadu.

Potem znikali. A rozpieszczona, obdarowana kwiatami i komplementami dziewczynka zostawała sama na noc z ciemnością i śmiercią.

22

Zdarzało się jednak czasami, że nikogo nie było, że byłyśmy same, tylko we dwie. I panna Sossé mówiła ze mną o sprawach, które były jej bliskie. Ale z dziwną ostrożnością unikała smutnych. Myślę, że chyba nigdy się nie skarżyła.

O swojej Armenii miała wspomnienia raczej z książek może lub opowiadań. Mam wrażenie, że był to dla niej kraj poniekąd — e g z o t y c z n y, ta jej własna ojczyzna. Mówiła mi na przykład, że Armenię Wysoką uważano niegdyś za najwyższe miejsce na ziemi — dlatego że stamtąd rozchodziły się promienisto cztery rzeki świata: Eufrat, Araks, Gail i Dżorokh.

A po chwili — nie przestając się uśmiechać — dodała z wyrazem dziwnej tęsknoty:

— Według tradycji średniowiecznej to tam właśnie miał się znajdować raj ziemski...

O swoim wygnaniu mówiła tak:

— To było rzeczywiście takie niezwykłe. Zanim przyjechałam tutaj, mieszkałam jakiś czas jako dziecko z nieznajomą zupełnie rodziną w jednej loży teatru miejskiego w Atenach. Naprawdę mieszkałam w loży — chyba przez parę miesięcy.

Przesypała wąskimi palcami stos różnych papierków w jakiejś tece i pokazała mi wyciętą z gazety ilustrację, zdjęcie widowni, zawalonej gratami i ludźmi.

— W tym teatrze ateńczycy dali wtedy przytułek wygnańcom naszym. Zmieściło się nas tam dwa tysiące. Cała jedna rodzina mieszkała, spała i jadła w każdej takiej loży. Na poręczach, gdzie pewno dawniej leżały bombonierki i lornetki dam greckich, wywieszone były koszyki z jedzeniem, tobołki bielizny, leżały poduszki, suszyła się bielizna. A wewnątrz każdej loży kobiety gotowały

na maszynkach jedzenie i karmiły dzieci. Wszystkie dzieci wtedy płakały. I ja też płakałam.

Zamyśliła się na chwilę.

— Nie mogę sobie wcale przypomnieć, co tam było na scenie, czy kurtyna była zapuszczona, czy nie. Nigdy widocznie nie patrzyłam się w tę stronę...

Urwała znowu.

— I wtedy już nie wiedziałam, gdzie jest mama...

Odnalazły się dopiero w parę lat później, ale tylko listownie.

Panna Sossé mówiła czasami o swej matce. Ale nie wspominała o ojcu ani reszcie rodziny.

W przeciwieństwie do panny Hovsephian i pana Peynirian, którzy należeli do kościoła gregoriańskiego, panna Sossé pochodziła z rodziny katolickiej.

Była bardzo religijna, przywiązana do tradycji, znająca wszystkie głębiny i czary modlitwy.

Chlubiła się tym, że w Armenii już w roku 301, na długo przed innymi narodami, wyznaniem państwowym było chrześcijaństwo. Wierność dla nauki Chrystusa okupili Armeńczycy ciężką wojną z Persami. Gdy bowiem Król Królów zażądał od nich, by przywrócili u siebie cześć Ahura-Mazdy, oni odrzucili to żądanie. Armenia była też jedynym państwem w Azji, które w epoce krucjat dawało pomoc w ludziach i broni rycerzom krzyżowym. A papieże wyrażali jej wdzięczność za usługi, oddane chrześcijaństwu.

Za te usługi później Fryderyk Barbarossa przyrzekł Leonowi II tytuł króla. Ale z powodu śmierci Barbarossy tytuł ten nadał mu cesarz Henryk VI, a papież Celestyn III wysłał na jego koronację jednego z kardynałów.

Zawsze tak mówiła o tej ojczyźnie swojej, jak o kraju dawnym i nieznanym, kraju z bajki. Unikała myślą jego teraźniejszości, pociągało ją to właśnie, co minęło.

I ten urok daleki i egzotyczny spływał na nią, na-

dawał tej wątłej, słabej istocie szczególne jakieś dostojeństwo.

Kiedyś znowu wstydliwie, jako rzecz najbardziej żenującą, wyznała mi, że sobie czasami coś pisze. Że próbowała tłumaczyć pieśni armeńskie.

Na moje nalegania śpiewnym głosem swoim przeczytała mi taką piosenkę:

O słodka wiosno dawna,
  zielona poro,
przeminęłaś na zawsze, na zawsze,
nie widzę już błękitu nieba,
nie słyszę już śpiewu radosnego
  małych ptaków!

Odszedłeś, o ukochany,
moje szczęście unosząc ze sobą,
więc na próżno powraca ta wiosna.

Och, bezpowrotnie już słońce wesołe
i dni roześmiane odeszły,
więc na próżno powraca ta wiosna.

Gdy tylko skończyła czytać, zaraz powiedziała, że ten rodzaj już jej teraz nie zajmuje, że to dawno sobie przetłumaczyła. Ale może chcę posłuchać, jak śpiewa starzec armeński na wygnaniu:

Wszyscy moi umarli są tam,
Wszyscy, których oni zabili...

Moje dzieci, dzieci moje i wnuki,
Och, dzieci, dzieci moje i wnuki.

Wszyscy moi umarli są tam,
Wszyscy, których oni zabili...

To odczytała prędko, jak by wcale nie wdając się w treść tych słów. I jeszcze dodała:

— To nawet jest zdaje się pieśń starca obłąkanego.

Wyjęła z tego samego zeszytu inną kartkę i powiedziała:

— Teraz jeszcze przeczytam pani taką modlitwę:

Panie, zmiłuj się nad nami,
Panie, zmiłuj się nad nami.
Święta Trójco, ześlij pokój na ziemię,
Daj zdrowie chorym!
Ulżyj cierpiącym
Powstań, Ojcze nasz, Boże nasz,
Ty, któryś jest ucieczką strapionych,
Przyjdź z pomocą sługom Twoim
I daj zwycięstwo armiom chrześcijan.
O, bądź ucieczką dla ludu armeńskiego!
Panie, zmiłuj się nad nami!

— To jest bardzo piękne — powiedziała ona sama. — Jest piękne, ale tylko dotąd.

Pokazała mi palcem w tym miejscu, gdzie kończył się wiersz:

Ulżyj cierpiącym!

Zrobiła to wszystko tak poważnie i jakby z głębszym znaczeniem, że aż się zdziwiłam.

— Dlaczego tylko dotąd?

— Tak. Bo dalej jest prośba, której Bóg wysłuchać nie może.

Znowu się zdziwiłam i chciałam, żeby mi to wytłumaczyła.

— Dlaczego Bóg nie może kiedyś dać wam zwycięstwa?

Jej mała twarz posmutniała od wysiłku, gdy ze zmarszczonymi brwiami, z wyrazem przymusu na ustach powiedziała wreszcie:

— Bóg nie może dawać zwycięstwa jednemu narodowi w walce z drugim narodem. Ja myślę, że o to prosić nie wolno, nie trzeba...

Jeszcze niezupełnie zrozumiałam, więc dokończyła:

— Ja nie wiem — ale zdaje mi się, że widocznie — n i e m o ż e...

23

Na wencie dobroczynnej w hotelu Palace znowu różne panie i panowie poprzebierali się w dziwne stroje. Ale tym razem nikt nic nie improwizował, wszystkie kostiumy były starannie obmyślone i wykonane.

Sale Jardin d'hiver zupełnie zmieniły swój wygląd. Cały jeden kąt odgrodzony był niziutką barierą i zastawiony wazonami i doniczkami kwitnących kwiatów. Buchał stąd zapach fiołków, hiacyntów, bzów i konwalii, a kilka pań w sukniach Louis XV sprzedawało bukiety i gałęzie tych kwiatów każdemu, kto tylko chciał. Wśród nich siedziała pani Saint-Albert, która miała tę samą piękną toaletę markizy, co u nas, i tak samo wyglądała w niej jeszcze raz młodo. Gdy tylko nas zobaczyła, zaczęła na nas kiwać, żebyśmy u niej kupili.

Wkoło sali stały pod palmami przeróżnie ozdobione, fantastyczne, barwnie pooświetlane kioski. Ale najładniejszy na pewno był namiot wschodni, gdzie Turcy, w zgodzie z Arabami i Indusami, dawali trochę wystygłą kawę turecką i mieli do sprzedania całe mnóstwo nikomu niepotrzebnych przedmiotów. Całe wnętrze namiotu wysłane było cudnobarwnymi dywanami, a na wielkiej sofie i poniewierających się po ziemi poduszkach siedziały i leżały w czerwonawym półświetle urocze wschodnie damy. Tam znalazła sobie miejsce pani de Carfort, przebrana tym razem w indyjski strój białej bajadery. Widocznie znała swoją urodę i lubiła jej rodzaj. Dostaliśmy od niej tej właśnie czarnej kawy, jakiś dzbanuszek z żółtej blachy, skórzaną zakładkę do książki i mnóstwo kolorowych bransolet ze szkła, które się od razu potłukły.

Później rzucaliśmy piłką w obrzydliwe manekiny, które, trafione w głowę, przewracały się na wznak, wygraliśmy jedną filiżankę i jedną chusteczkę do nosa, później parę razy nie wygraliśmy zupełnie nic, kupiliśmy fajkę i poszliśmy do sali jadalnej, żeby po tych wrażeniach odpocząć.

Tutaj czatowała w przejściu pani Saint-Albert, znowu coś innego sprzedająca w dużym koszyku. Prócz męża i Carrizalesa stała przy niej cała grupa, podobnie jak oni, młodych mężczyzn.

Carrizales, swoim zwyczajem, mówił jej komplementy, trzymając pod pachą wielką lalkę, którą kupił dla panny Nory, i pudełko z papierem listowym, który kupił nie wiadomo po co. A w kieszeni miał jeszcze schowany dość duży porcelanowy kałamarz.

Pomimo to był zdecydowany kupić coś jeszcze od pani Saint-Albert, o której twierdził, że jest dzisiaj horribile seductora.

Ale oto przewionęła tędy panna Alicja z długimi, prostymi gałęźmi białego bzu w rękach. I, przechodząc, rzuciła jakieś szybkie zapytanie w tę grupę mężczyzn.

Nie usłyszeli ani słowa, a ona śmiała się i nie chciała powtórzyć. I, tak dopytując się, pobiegli za nią wszyscy, prócz pana Saint-Albert i Carrizalesa, i więcej nie wrócili. A po pewnej chwili poszedł w tamtą stronę i Carrizales.

— Jest o dziesięć lat ode mnie głupszy i o dziesięć lat szczęśliwszy — powiedziała pani Saint-Albert z melancholią.

Wkrótce zebraliśmy się w kilkoro znajomych koło jednego stołu. Przyszła też w swoim białym stroju, cała wyszyta perłami, pani de Carfort.

Zwykle małomówna, ożywiła się szczególnie tego wieczoru. Mówiła znowu o swoim Maroku, za którym tak tęskniła, tu pośród śniegów, i którego nie mogła znieść

klimatu. Zostawiła tam męża i małego syna, i ogród, pełen kwiatów i palm, i swego wierzchowca, i psa. I cudny dom, stary arabski pałac, z salą przegrodzoną rzędem filarów, z cichym ukwieconym patio.

Miała zawsze przy sobie parę fotografii stamtąd.

— Ach, jak tam pięknie. Pięknie i dobrze. P o t y m już trudno, już niemożliwe jest żyć gdzie indziej.

Na małych strzępkach oglądaliśmy skraweczki cudnego kraju, zakąty mauretańskiej architektury, palmy i piaski, uliczki zupełnie czarne od słońca w niebie.

Ślub pani de Carfort w kościołku dlatego tak małym, że przerobiony jest ze zwyczajnego domu arabskiego — na pamiątkę straszliwej rzezi Francuzów, która się tam odbyła. Oto fotografia pani de Carfort — jak leży ciemna wśród białości pościeli, nazajutrz po urodzeniu syna. Oto znowu ona z synem — tak i inaczej, z pochyloną nad nim cudną ciemną głową, podobna do madonn bizantyjskich.

— A to jest Fatma.

Czarna, młoda Arabka stoi poważna, trzymając francuskie dziecko na ręku.

— To właśnie jest jego piastunka. Ona go tak ubóstwia, że dałaby się za niego bez namysłu zabić. Mogę jej całkowicie ufać i jestem z niej zupełnie zadowolona. Jedną ma tylko wadę, że jest zamężna. Bo z tego wynikają tam wielkie kłopoty.

Pani de Carfort śmieje się swym łaskawym śmiechem. Jest taka ożywiona i prosta, tak widocznie wzruszona wspomnieniami, że doprawdy tylko jeden pan Tocki może słuchać tego niechętnie. On jeden — bo nie ma Esta.

— Ale teraz już wszystko jest dobrze. Piszą mi z domu, że mąż Fatmy wziął sobie drugą żonę.

Nie rozumiemy tego tak od razu.

— A tak. Co parę dni pojawiał się u mnie ten młody

Arab i z całą uroczystą swoją powagą zadawał mi takie pytania:

„Czy to prawda, że przedwczoraj wieczorem wysłałaś Fatmę z listem do miasta?“

Mówię mu, że to istotnie jest prawda.

„Czy Fatma nie chodziła do kuchni pomagać kucharzowi?”

„Nie, nie chodziła.”

„Czy pozwolisz Fatmie przyjść dzisiaj do mnie na noc?”

„Pozwolę.”

Uspokojony na parę dni mąż Fatmy żegna mię ceremonialnie i odchodzi.

Fatma była w rozpaczy po każdej takiej jego bytności. Tłumaczyła się przede mną i zaręczała, że nie ma w tym jej winy. Robiła doprawdy wszystko, żeby go do mnie nie dopuścić.

Ale on nie chciał ustąpić, jej starania właśnie zwiększały jego podejrzliwość. Był zazdrosny i nie wierzył żadnym jej zapewnieniom, póki ja ich nie potwierdziłam.

Fatma mi mówiła, że mąż chce ją wziąć do domu.

„Ale ja za nic nie odejdę od ciebie — zapewniała mnie. — Mówię mu wciąż, żeby wziął sobie drugą żonę, to będzie najlepiej. Ja zawsze przyjdę, jak on będzie chciał — ale już będzie miał drugą i będzie spokojniejszy. Ona mu ugotuje i upiecze, a ja już będę zawsze przy małym i on nie będzie ciągle przybiegał i ciebie niepokoił.”

Zapytałam: „a czy naprawdę nie będzie ci wcale przykro, jeżeli cię posłucha i drugą żonę weźmie. Przecież go kochasz”.

„No tak, kocham go, naturalnie. Ale nie chcę, żeby mnie ciągle podejrzewał, nie chcę, żeby przychodził tutaj. Będzie daleko lepszy, jak będzie miał jeszcze drugą.”

I właśnie mąż mi teraz pisze, że naprawdę zrobił się lepszy, odkąd wziął sobie tę drugą żonę. I Fatma jest zupełnie teraz zadowolona.

24

Znowu zjawiła się panna Alicja i naturalnie zaraz podeszła do naszego stołu, wiodąc za sobą Curchauda i Carrizalesa.

W pani de Carfort za zbliżeniem się panny Alicji wszystko aż syczy. Są to typy tak sobie wrogie, że wcale temu nie można się dziwić.

Jej twarz sztywnieje, jej uśmiech stygnie, oczy robią się twarde i martwe, słowa z gardła wychodzą z przymusem.

— Ona nie powinna być tolerowana. To jest typ, który kompromituje w ogóle kobietę. Ona nam wszystkim przynosi ujmę.

Cóż można na to powiedzieć, jeżeli ktoś tak czuje. Ostatecznie jednak jest się w specjalnych warunkach, tu w górach, gdzie nic właściwie nikogo nie zobowiązuje.

Pani de Carfort usiłuje się pohamować.

— Och, ja nie wątpię, że nie tylko ona jedna zabawia się tutaj miłością. I nawet, przecież doprawdy nie wiem o niej zupełnie nic konkretnego. Ale tylko ona jedna tak zachowuje się wobec mężczyzn. I właśnie ten jej sposób bycia, poziom tych rzeczy jest dla mnie — wprost niedopuszczalny.

Pani de Carfort jeszcze powściąga się przez chwilę, ale jednak nie może tego nie powiedzieć. I już mówi. Że mianowicie żadna młoda dziewczyna francuska, że przecież nawet w tym wiadomym Paryżu... I sama wie, że to jest aż naiwne.

Nic jej na to nie odpowiadam, ale ona wyczuwa od razu brak rezonansu i pośpiesznie dodaje:

— Bo nie można wnioskować z tego, co pisze się w romansach, gdzie ostatecznie oczernia się tylko francuską kobietę.

Taka jest ładna i ujmująca w tej chęci swojej, aby wszy-

stko w jej Francji było doskonałe i bez skazy. I samą sobą to sprawia, że nie można jej nie wierzyć.

— Ja wiem, co jest w ogóle prawdy w pisaniu. O, niewątpliwie.

I tym razem, gdy tylko zjawiła się panna Alicja, od razu pani de Carfort przybrała swój zwykły wygląd, wyniosły i wzgardliwy. Panna Alicja jednak jest tą jedyną, która tego nie dostrzega.

Bo znowu panna Alicja po prostu n i e w i d z i innych kobiet. Widzi tylko siebie, mogę powiedzieć: p o p r z e s t a j e na sobie. Sama wyczerpuje i całkowicie zaspokaja swoją ciekawość.

— Ta de Carfort? — zapytuje z roztargnieniem. — Że jest ładna? Nie, mnie zupełnie się nie podoba. Ona nie jest w guście mężczyzn.

Wyniosły ton tamtej wobec siebie, jej małomówność i wzgardliwość tłumaczy sobie inaczej.

— Jest zazdrosna, to widać od razu. Jakież to śmieszne. Czyżby jej naprawdę podobał się ten łysy Curchaud? Cóż ja zrobię, że on mnie wciąż prześladuje. Przecież ja go tylko wyśmiewam. Ale najchętniej go jej ustąpię, skoro ona taki dziwny ma gust. Chociaż wszyscy mówią, że ona kocha się w tym chorym Żydzie, w Eście. Czy to prawda?

Pani de Carfort rzeczywiście chętnie rozmawia z panem Curchaud. Tak ją pasjonują sprawy kolonialne, cały ten egzotyczny świat, wciągnięty w orbitę wielkości Francji. Ona sama — kwiat francuskiej ekspansji na Afrykę — i pan Curchaud — plantator z Kambodży — to były jakby dwa ramiona tej Francji, wysunięte na południe i na wschód świata: wyrażali przez się łącznie ogromny zasięg francuskiej potęgi.

Pani de Carfort rozjaśniła się więc dopiero, gdy, dostawszy właśnie za sąsiada pana Curchaud, mogła mówić znów o tym, co jej było tak bliskie. Panna Alicja bowiem siadła u drugiego końca stołu, między panem Saint-Albert

i Carrizalesem, który jednak „śmiał spoglądać" w jej rozbawione oczy, jak gdyby nigdy nie zrobiła mu surowo wyrzutu, że jej nie szanuje.

— Oni rozumieją, co Francja przynosi im w darze, oni zaczynają to rozumieć — mówiła pani de Carfort. — Zapewniliśmy im bezpieczeństwo w ich własnym kraju, przynieśliśmy ze sobą kulturę, koleje, irygacje, praworządność, Umieliśmy ich sobie z j e d n a ć... Teraz już są ulegli, chociaż zawsze tkwią głęboko w swoich tradycjach i wierze, w swojej dumie, która właśnie tak podoba mi się u Arabów. Państwo wiedzą, o co oni mają największą pretensję, do Francuzów? Że równouprawnili z nimi Żydów, że wolno im teraz wychodzić z getta...

— Ich można zjednać, ale tylko silną załogą wojskową — odezwał się dotknięty słowami pani de Carfort Carrizales.

— Och nie, nie tylko! — Pani de Carfort miała wśród nich sama wielu przyjaciół, miała dowody nie tylko uległości, ale sympatii i wdzięczności Arabów. Znała między nimi prawdziwych wielkich panów o starej kulturze, wykwintnym obejściu i olbrzymiej rencie. Znała ludzi prostych, jak Fatma i jej mąż, znała nędzarzy, pogodzonych fatalistycznie ze swym losem i wcale nie rozumiejących, że jakoś można go zmienić.

Ani ona, ani Carrizales nie wiedzieli, że w parę miesięcy później powstanie Riffenów, walczących wówczas z Hiszpanią, miało się obrócić także i przeciwko Francji.

— A historia największego wroga naszego, emira Abd-el-Kadera, który przez całe lata walczył z nami. Przecież umarł jako szczery przyjaciel Francuzów.

Nie było tym razem wśród nas panny Hovsephian, która mogłaby powtórzyć tutaj naiwny swój pogląd na sprawy polityki światowej, że „jeden naród nie powinien uciskać drugiego". Za to był pan Tocki, zawsze nastrojony opozycyjnie.

— Umarł, ale w więzieniu — niespodzianie uzupełnił słowa pani de Carfort swoim niemiłym głosem.

— Nie, nie w więzieniu — odpowiedziała najspokojniej pani de Carfort. — Przez sześć lat rzeczywiście zamknięty był w więzieniu, ale wtedy już go wypuścili. I umarł na swobodzie. Albo działalność ojca Foucaud! On świętością swego życia i wielkim poświęceniem również przyczynił się do zwycięstw Francji, nie tylko armia. Przez długie lata zamieszkiwał wśród różnych po kolei plemion afrykańskich i samym przykładem swoim wywierał taki wpływ, że te plemiona poddawały się później prawie dobrowolnie, podczas gdy inne trzeba było zagarniać siłą.

— Ale koniec, koniec tej hagiograficznej idylli jest dopiero pouczający — pośpieszył się pan Tocki. — Właśnie zamordowali go ci sami czarni, których tak budował swoim przykładem.

Pani de Carfort spochmurniała i westchnęła. A pan Curchaud powiedział, że to nic nie znaczy, że to trudno: zginął jak bohater.

— Mój własny ojciec, którego prawie wcale nie pamiętam, poległ jako oficer, walcząc w Senegalu. A i ja, i mój brat osiedliliśmy się pomimo to w koloniach.

Ale oto i tym razem, zapominając o swoich sąsiadach, panna Alicja zwróciła się wyłącznie do pana Curchaud. Głośno, poprzez stół, zaczęła go rozpytywać o jego rodzinę, o Indochiny, o Pnom Penh. Jakżeby chciała wiedzieć, jak tam jest naprawdę w tej Kambodży, jak tam jest! Jej przecież było zupełnie wszystko jedno, jej, która już nie miała ojczyzny. Była tu albo ówdzie — a wszędzie obca i daleka. Czy pan Curchaud na przykład nie zechciałby zabrać jej ze sobą — tam?

Jeżeli bowiem myślała kiedy osiąść gdzieś na zawsze, do śmierci — to właśnie w głębinach tej dzikiej, niewiadomej krainy. Więc po prostu chciałaby wiedzieć, kiedy pan Cur-

chaud wyjeżdża... Tylko niechaj sobie tego nie wyobraża w jakiś taki sposób, po swojemu. Panna Alicja pojechałaby zwyczajnie sama, a jego tylko prosiłaby o trochę opieki.

Pan Curchaud też tylko w taki sposób to sobie wyobrażał naturalnie. Ale i z tym zastrzeżeniem wszystko zdawało się świadczyć, że pomysł panny Alicji całkowicie odpowiada jego pragnieniom, a ją samą wystawia znów na te same niebezpieczeństwa i niepokoje, bez których nie mogła żyć.

Pani de Carfort pierwsza podniosła się od stołu. Jakimże przeciwieństwem było po tym tłumnym, kolorowym wieczorze znaleźć się znowu wśród czarnej nocy, wysłanej śniegami i gwiazdami!

Wracaliśmy piechotą, krótką drogą w dół przez park, po stromych ścieżkach, po schodkach, układanych z kamieni lub wyrąbanych w skale. Elektryczne lampy ziębły i malały w uśnieżonej gęstwinie. Oddychanie czarnym, mroźnym powietrzem tej nocy dawało rozkosz.

Obok mnie szedł pan Tocki i mówił o tym, co dla niego było najważniejsze.

— Wszystko przecież rozumie, jest delikatna, subtelna, mądra. Ale francuska racja stanu — to jest próg. I poza ten próg pani de Carfort przejść nie umie. Może, jak Carrizales, oburzać się, że tamci chcą — niepodległości. Może, jak Curchaud, uważać, że opium jest nieszkodliwe, ponieważ utrzymuje w równowadze budżet państwa...

W przelotnych światłach widziałam jego twarz z brzydkim grymasem ust, wyrażającym prawdziwą mękę serca. Mówiąc, niepotrzebnie zaciskał i rozplatał swe palce, i nawet wyciągał je ze stawów, jak ludzie prości.

— Ci Arabowie tam, ich domy, ich ojczyzna — dla niej — cóż to jest, nawet dla niej, która ich lubi... I więzienie Abd-el-Kadera i śmierć tego misjonarza — coś z tego zawiera się w całym pięknym jej życiu tam, za którym tu-

taj tęskni, w jej arabskim domu, w ogrodzie z palmami, nawet w jej samochodzie i wierzchowcu...

Pan Tocki kochał panią de Carfort, ale nie godził się na nią. Tak bywa często między ludźmi. I kto wie, czy to nie jest najgorsza forma nieszczęśliwej miłości.

25

Miss Norah wołała rano ze swojej galerii, że jest piękna pogoda i że już przyszła wiosna. Ale Carrizales na dole śmiał się i utrzymywał, że jeszcze nie.

Ja do dziś nie wiem, kiedy tam właściwie ta wiosna przyszła. Zdawało się w jakimś miejscu, że już na pewno jest — a zaraz obok wcale jej nie było. Cień lasu, załom skały wystarczał, by od razu stracić wszelkie złudzenia.

Całe tygodnie żyliśmy zdezorientowani. Każda wycieczka, nawet każdy spacer był po prostu wędrówką w czasie.

W słoneczny, ciepły dzień zeszliśmy po mokrym śniegu szosy pięć kilometrów w dół, do zacisznej, uroczej doliny, której od nas wcale nie było widać.

Świat po prostu odmieniał się w oczach. Nagle drzewa miały już nabrzmiałe pączki. Na ociekłych ze śniegu pastwiskach dziwne tutejsze wieśniaczki, w czarnych, wełnianych sukniach i czarnych, słomianych kapeluszach, roztrząsały nawóz po trawie. Wyglądały w tych strojach na małomiasteczkowe damy, które w niedzielę idą na sumę albo na wizytę.

Szosa zamieniała się z wolna w uroczą aleję, ujętą w niskie, bardzo stare kamienne obmurowanie. Po bokach pachniały bluszcze, mirty i bukszpany.

W pewnym miejscu tej drogi strome zbocze góry podmurowane było taką starą, kamienną ścianą, a wyżej, ponad nią, rósł na zboczu nagi jeszcze liściasty gaj, nagrzany słońcem, podszyty i opleciony tymi wiecznie zielonymi

krzewami. Buchał stamtąd ku nam gorący, gorzkawy zapach południowych liści, szedł powiew upalny, jak w letni dzień.

Elektryczna kolejka zabrała nas dalej, znowu pod górę, w pusty, śnieżny świat szczytów, lasów i przepaści. A stamtąd odjechaliśmy jeszcze dalej — cudną drogą podniebną, mknącą jakby w powietrzu po gzymsach i mostach nad przepaściami. Wyjrzawszy z okna, widzieliśmy wprost pod sobą, w wąskim, najdalszym dnie otchłani, płynący cienki, zielony strumień Grande Eau. I patrzenie tam w dół przenikało strachem i rozkoszą.

W pewnej chwili obniżył się stromy brzeg przeciwległy tej rozpadliny i ukazał daleką podniebną ścianę górską, zamykającą ogromny rozłóg dolin, gór i krawędzi. I tam, wysoko, wysoko w górze, u szczytu samego owej ściany, wśród pionowo wstępujących, zaśnieżonych lasów, ujrzeliśmy na krótko naszą osadę — garstkę białych pudełeczek, przylepionych do śniegu. Panowała z góry nad całym światem, a ponad nią nie było już nic widać, prócz nieba. I za jednym zakrętem kolejki, przestawiającym cały układ grzbietów, stoków i przepaści, zniknęła z oczu naszych, jak przywidzenie.

I znów trudno było uwierzyć, że to tam jest ten dom i pokój, i galeria z szukami, że to tam — pośrodku całego świata — jesteśmy my.

— Tym lotem podniebnym, przytulonym do górskiego zbocza, po podmurowaniach, po mostach, pod tunelami spływaliśmy teraz wciąż niżej, kołując — aż na rozległą, zieloną dolinę Rodanu. Świat stał się bliski, dotykalny, płaski, a w pewnej chwili przesłonił wszystko swym ogromem mały dworzec kolejowy.

Minęliśmy parę starych ulic miasteczka i przedwieczorną godziną poszliśmy ku Rodanowi — równą, prostą, szeroką, białą drogą. Góry stały daleko — różowe i fiołkowe we mgłach zachodu; usunęły się na krawędzie ho-

ryzontu, jak czarująca nieprawda. A my szliśmy wśród płaskich, zieleniejących zupełnie po naszemu łąk i ogrodów, wśród wilgotnych, ciepłych zapachów ziemi, wśród krzyku wszystkich ptaków — przeniesieni nagle w głąb wiosny jakby za nakazem czarów.

Wróciliśmy do domu z tej naszej pierwszej wycieczki do wiosny nocą — w śnieg padający, w ciemność i mróz.

Ale mijały dni. Już i u nas stoki, wystawione ku słońcu, ociekły ze śniegów. Z żółtej trawy pastwisk wyszły na powietrze pierwsze kwiaty: cytrynowe primavery, szafirowe gencjany i naiwne, obojętne, sztywne, białe albo fiołkowe krokusy. A między tymi kolorowymi kwiatami trawa robiła się każdego dnia coraz bardziej zielona.

Zięby, które wtedy uprzedziły były niejako wypadki, teraz już na pewno miały rację. Ich uparta, wesoła, stanowcza piosenka rozlegała się wszędzie po lesie, pomieszana z radosnym śpiewaniem wiosennych ptaków.

Ale znowu wystarczyło bardzo niedaleko wspiąć się pod górę, by od razu znikły łysiny wymokłego na trawach śniegu i żółte pastwiska z pierwszymi kwiatkami. Weszliśmy w świat srogiej zimy — z chrzęstem głębokiego, zlodowaciałego śniegu pod nogami, w las o olbrzymich świerkach, osypujących reszty starych śniegów, w skały urwiste i czarodziejskie, całe ściany różowe łupków. W kamiennych korytach, rozstawionych po drodze dla pojenia krów, które przychodzą aż tam na lato, pływał kawałami lód.

Na zakrętach drogi, w lukach wielkich drzew rozwierały się i tu coraz nowe okna na olbrzymi rozłóg świata. Ale nic stąd nie wydawało się zielone, a doliny Rodanu wcale nie było widać.

Po dniu mglistym zrobił się wieczór pogodny, słońce zachodziło w świetności wszystkich kolorów. Ogromny dół zboczy i dolin wypełniał się ciemnością mleczno-gra-

natową, białe szczyty różowiały ponad smugami obłoków, jakby narysowane w powietrzu.

Lekki mróz nadciągał razem z ciemnością. A o tej samej chwili tam w dole pachniała ciepła ziemia i pierwsza zieleń drzew owijała się w liliowe woale zmierzchu.

26

Kiedy pan Est raz powiedział, że przy naszym stole zasiada cała Société des Nations, to nie tylko miał słuszność, ale niejako antycypował wypadki.

Mieliśmy tam też bowiem jednego Niemca, naszego własnego Niemca, jak już wspomniałam, i to najbardziej autentycznego, bo z Berlina. Jak wielu innych Niemców, i ten nazywał się Fuchs.

Zasiadał z nami do jedzenia i niekiedy zabierał nawet głos. Wszyscyśmy go solidarnie nie lubili — jako Niemca, wszyscy mówiliśmy o nim z niechęcią i złośliwością. Pan Verdy nie wyrażał się inaczej, tylko: „ta świnia Fuchs“ albo „ta kanalia Fuchs“. Ale jego franc-parler raził doprawdy nie tylko panią de Carfort.

My wszyscy byliśmy bardziej powściągliwi. Uważaliśmy za możliwe wymieniać z nim ostatecznie parę zdawkowych słów, i nikt nie robił mu wyraźnych afrontów.

Mimo to musiał czuć doskonale, że jest sam. Że jest po jednej stronie, a po drugiej — jesteśmy my wszyscy, prócz niego.

Musiał to czuć — ale poznać po sobie nie dawał. Był nawet pewny siebie, dosyć swobodny i niezależny.

Wszystko zdawał się traktować trochę ironicznie, trochę przekornie i niezupełnie na serio. I naprzód zawsze się uśmiechał, a dopiero potem zaczynał mówić. I ta dziwna, fałszywa „dobra mina“ robiła także niemiłe wrażenie.

Od samej wojny przez kilka lat wciąż się leczył. Objechał wszystkie sanatoria swojej ojczyzny. A teraz przyjechał tutaj, już jakby robiąc ostatnią próbę.

Ale nie był ciężko chory. Wyglądał dobrze i nawet miał bardzo czerwone, nieprzyjemnie grube usta. Mógł spacerować, rozmawiać, mógł chodzić na wycieczki. Nikt się nie zainteresował, czego mu właściwie brakło.

Doprawdy, jak mu tam było na duszy — poza tym kwaśno-ironicznym uśmieszkiem, nikt nie wiedział i nie pragnął dochodzić.

Oprócz właśnie jednej tylko pani Wogdeman.

Był za drzwiami życia — poza przyjaźnią, poza wszelką słodyczą porozumienia.

Nawet panna Alicja, tak wyrozumiała, tak — można powiedzieć — mało na ogół wybredna, nie zauważyła go nigdy jako możliwego niebezpieczeństwa.

Zdarzyło się raz, że pan Tocki mówił zjadliwe żarty na temat wojny. Nikogo to nie dziwiło, każdy wiedział, jak jest dumny z neutralności przybranej swojej ojczyzny.

Fuchs słuchał tego, czerwieniąc się i w przykrych grymasach przygryzając swoje zbyt pąsowe i zbyt pełne usta.

Wreszcie powiedział:

— Gdy tylko wyzdrowieję, powrócę zaraz do wojska. Tak, wiem, że mnie przyjmą — jeżeli tylko wyzdrowieję...

Pan Verdy popatrzył na Fuchsa nieprzyjemnie i zapytał:

— To panu się chce jeszcze bić?

Wszyscy spojrzeli teraz na Fuchsa. Nie, nie wyglądał wojowniczo. Nie mógł naprawdę myśleć o odwecie, on sam. Był na to za słaby, za zmęczony, jakiś za nieszczęśliwy.

— Ma pan jeszcze ochotę? — irytował się pan Verdy. To szczególne! Dzisiaj, gdy cały świat pragnie pokoju! To panu mało jeszcze tej wojny i jej skutków?

Każdy czuł, że nie powinno się teraz tutaj o tym mówić. Ale pan Verdy nie był taktowny. Okazało się, że nie był taktowny i Fuchs.

— Łatwo jest być pacyfistą t e r a z — powiedział po dłuższej chwili głosem cichym, i jego ironiczny uśmiech wyglądał po prostu na skrzywienie. — Jednakże przed odebraniem nam Alzacji i Lotaryngii każdego pacyfistę u siebie uważaliście za zdrajcę.

Wszyscy byli zdania, że taka rozmowa jest całkiem nie na miejscu i milczeli z niesmakiem. Może pan Verdy byłby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale przeszkodziła temu pani de Carfort. Z wyrazem gniewu i obrzydzenia na twarzy powstała ze swego miejsca i poprosiła pana Verdy o chwilę rozmowy. Okazało się, że szło o rzecz wcale nieważną, mianowicie o gazety dla chorego Esta.

Na powiedzenie swoje pan Fuchs nie odebrał wcale odpowiedzi. Ostatecznie — nikt przecież nie był ciekawy zarówno spraw pana Fuchsa, jak jego zdania.

Nikt — poza jedną właśnie panią Wogdeman, nieobecną zresztą w tej chwili. Tą, która miała oczy, patrzące zawsze najdalej, jak się dało.

Spotkałam ją kiedyś u panny Nory, do której przyszłam po sąsiedzku, by przynieść jej kieliszek wina, które lubiła.

Na galerii, gdzie panna Nora leżała, jak zwykle, naga, stały znowu róże. Teraz już wiedziałam, od kogo były i co oznaczały.

Leżała grzbietem do góry, śliczna i brązowa, nagrzana od słońca, gorąca, jak prawdziwy metal. Łokcie trzymała na haftowanej poduszce, a głowę miała w lekkim cieniu tych róż.

Odłożyła książkę i piła wino, śmiejąc się i czegoś ra-

dując — Magdalena, nie dość skruszona nad swoją księgą — albo po prostu bachantka.

Pytała, jak bawiliśmy się na wencie, z kim robimy wycieczki. Wszystko zresztą sama już wiedziała, bo opowiadali jej państwo Vigil. Państwo Vigil a także pan Carrizales, którego coraz lepiej rozumie, bo ciągle uczy się po hiszpańsku.

Była beztroska, radosna, nie znająca mąk niepokoju ani podejrzeń, niedostępna rojeniom zazdrości. Wystarczało jej, że przyszedł, by opowiadać, jak bawił się gdzie indziej.

Przypomniałam sobie tego Carrizalesa na wencie i na spacerach, przypomniałam sobie, co on mówił do pani Saint-Albert i co o nim mówiła panna Alicja.

A panna Nora była zawsze tutaj — nieruchoma i czekająca, przytwierdzona do miejsca niby wrośnięta korzeniami roślina.

I gdy wtedy pomyślałam o nim i o niej, że to jest motyl i róża, to było w tym daleko więcej prawdy, niż jest jej zwykle, gdy robi się takie porównanie.

Ale nie o tym przecież chciałam mówić. Tylko o tym, że przyszła tam wtedy pani Wogdeman. I mówiło się naprzód o wspólnie nam znajomych Armeńczykach, a potem o tym Fuchsie.

— Tak, pani mi opowiadała! — zawołała żywo miss Norah. — Mnie go jest ogromnie żal...

Zdziwiło mię to współczucie obu kobiet dla tego Fuchsa, który wcale przecież nie wyglądał na pognębionego i nawet nie bardzo był chory. I który gotów był jeszcze się bić...

A pani Wogdeman powiedziała dziwnie — swym cichym, pozbawionym jakby tchu głosem.

— Cóż mogą wiedzieć o tym ci, którym wojna dała zwycięstwo albo wyzwolenie. Jeżeli z tej otchłani wynieśli p o c z u c i e z a s p o k o j o n e j s ł u s z n o-

ś c i — taką zdobycz niewątpliwą, talizman pociechy i balsam na wszystkie rany...

Mówiła tak jakoś, że mię to aż dziwiło — tak uroczyście.

Dowiedziałam się od niej, że ten Fuchs miał na wojnie dwukrotnie przestrzelone płuco i po wielkich krwotokach nie może już odzyskać sił, nie może wcale przyjść do siebie.

— Ale najcięższa na pewno i śmiertelna dla niego jest rana ambicji, na zawsze poniżona miłość własna... jego rany są zawsze otwarte i dlatego nie może być zdrowy.

— Tak — powiedziała panna Nora. — On jest prawie tak nieszczęśliwy, jak mała Sossé, która też nie może wyzdrowieć.

Pani Wogdeman zaprzeczyła głową, patrząc daleko ponad leżącą nagą Norą na ostatni zaśnieżony szczyt, wspięty na niebo.

— Nie, nie, panna Sossé nie jest tak nieszczęśliwa. Armeńczycy zachowali nie uszkodzoną dumę tych, którzy cierpieli niewinnie. Ich mękom współczuje wszystko, co jest szlachetne w Europie i Ameryce. A ten Fuchs — który chce jeszcze zemsty, chce odwetu — czyż może powoływać się moralnie na doznane krzywdy, skoro przecież wiedzą wszyscy, skoro musi wiedzieć sam — i nie ma złudzeń... A walczył wtedy jak inni — i także cierpiał...

Urwała na chwilę, by odetchnąć. Rzecz szczególna, że każdy jej oddech był właściwie westchnieniem.

— Gdy patrzę na niego, zdaje mi się, że on żyje zbyt długo, że na parę lat przeżył swą śmierć. To jest nie takie rzadkie zjawisko. Przeżył swą śmierć, by tym lepiej, tym dokładniej ją poznać. Czuje się, że on umie ją już na pamięć — do ostatniego tchu. Jaki ciężki musi być moralny wysiłek zwyciężonych — zwyciężonych s ł u s z n i e — by sobie to jakoś wewnątrz umotywować, jakoś sobie z tym poradzić, jakieś z tego znaleźć wyjście —

choćby już tylko na własny użytek, choćby przeciwko wszystkim...

— Siła moralna daje wyjście z najcięższej doznanej krzywdy. Ale Fuchs nie ma wyjścia. Jego męka to jest na próżno zmaganie się z prawdą klęski bez ratunku i bez usprawiedliwienia.

— Pani myśli, że on to czuje?

— Myślę, że on to czuje. I dlatego wydaje mi się bardziej umarły niż panna Sossé i niż ten biedny Est, umierający na przemian pośrodku żartów i rozpaczy...

27

Jakże pomimo tamtejszej piękności wyżyn pociągały nas o tym czasie doliny!

Znowu spadł rano jakiś śnieg, mający stopnieć za godzinę. Ciepłe słońce wychodziło już z białej, naciekłej światłem mgły.

Było wszędzie biało, jak w zimie. Więc postanowiliśmy sobie z państwem Saint-Albert zejść piechotą na nizinę Rodanu najkrótszą, stromą drogą w dół — i w najbliższym miasteczku zjeść śniadanie.

Tym razem była to już wędrówka poprzez pasy klimatyczne.

Naprzód szliśmy po tym śniegu, w chłodnym cieniu bardzo starych świerków, wśród twardych, zbitych ścian skalnych. Ale razem z lasem skończył się jakoś i śnieg, spadziste zbocza pastwisk, miejscami już prawdziwie zielone, barwiły się kwiatami. Kamienista droga, zasypana rumowiskiem, chrzęszcząca i zgrzytająca za każdym krokiem, wykręcała się i zaginała, obejmując to wypukły stok łąkowy, to jeszcze jakąś resztę świerkowego lasu. Czasami, uczepiona gzymsu szaroróżowej ściany skalnej, wychylała się nad przepaścią z hukiem zielonej wody głęboko na dnie. Czasami, ujęta w dwa wały nagich krzaków, spadała w dół tak gwałtownie, że wyglądało to, jak by sama, w odległości kilkunastu kroków od nas, kończyła się urwiskiem. I wreszcie weszła na długo, jak do tunelu, w nagi jeszcze, ale gęsty i zwarty las liściasty. Często bezlistne gałęzie wyrastały z pni zielonych, aż po wierzchołek okręcony bluszczem.

Każdy krok nasz był właściwie borykaniem się ze spadzistością tej drogi. Stąpanie było ciągłym powstrzymywaniem się od biegnięcia. Chroboczące kamyki wyprzedzały nas wciąż i uciekały daleko. Złomy skał leżały po bokach, tworzyły całe zbocza i ściany wśród tego zbitego bezlistnego lasu, lecącego w dół, razem z tą drogą i z nami, z niepokojącą naprawdę szybkością.

Każde rozwarcie drzew lub skał ukazywało oczom naszym, zawsze ten sam, niezmienny, wydmuchany ze srebra kontur Dent du Midi. A jednak widok wciąż się zmieniał. Dalekie góry robiły się coraz mniejsze, jak by zachodziły za bliższe, które znów wysuwały się do góry — czasami aż do nieba. I za każdym razem ten górski świat był mniej wspaniały i rozległy, mniejszymi otoczony przepaściami powietrza. I za każdym razem bliższa i rzeczywistsza stawała się uroda dolin.

Po godzinie i pół tej drogi w dół zaczęła się uroczystość prawdziwej wiosny. Na zielonych polanach stały grupami drzewa osypane złotym puchem pierwszych liści; kuliste, szmaragdowe krzaki agrestu wyznaczały ścieżki do chat. W opłotkach kwitły biało i różowo drzewa, a wysoka trawa sadów miała głęboki, ciepły kolor malachitowy.

Szłyśmy obok siebie z panią Saint-Albert, milcząc. Oczy odchodziły daleko, w głębinę powietrza i światła. Ziemia była zbyt piękna. Zdawała się ku czemuś pociągać i — zobowiązywać. Nie było tak łatwo temu sprostać.

Znajomość moja z panią Saint-Albert doszła do tego miejsca, w którym uczuwa się potrzebę i możliwość wiedzenia o sobie nawzajem prawdy.

Nie pamiętam, bym zapytała ją o cośkolwiek, bym jakoś celowo przyśpieszyła ten moment szczerości, który nadchodził. Ale nadszedł.

— Dawniej, gdy byłam szczęśliwa — powiedziała pani Saint-Albert — wyobrażałam sobie zawsze, że będę umiała się starzeć. Czułam w sobie spokój i zgodę na bieg życia, byłam do niego równoległa. Miałam piętnaście lat, kiedy już pyszniłam się moją młodością. Ale teraz dopiero zrozumiałam, że młodość nie jest stanem. Jest wartością dodaną do wszystkiego, jest nadaniem życiu rzeczywistości. A starość jest odjęciem wartości od każdej rzeczy, od najmniejszej.

Mówiła powoli, z wysiłkiem, szukając słów.

Spojrzałam na nią i poczułam, że nawet nie mogę jej powiedzieć nic o tej naturze, od której mdlały z upojenia oczy.

Ona odpowiedziała mi na słowa, których nie wymówiłam.

— Nie widzę piękności świata. Opędzam się od niej, choć idzie za mną jak zwierzę, chociaż się do mnie łasi. Czy tam na górze, czy tu, jestem wobec niej sama, obca, ślepa. Na wszystko naokoło patrzę jak na coś, co nastąpiło po mnie. Straszliwa samotność, obszar pusty...

Już nie wiem, jak to zabrzmiało w moich ustach, ale powiedziałam jej chyba coś o nim, przypomniałam jej prawie surowo, że jest kochana. Jej słowa krzywdziły przecież to młode, dla każdego oczywiste uczucie.

Chwilę milczała. A potem powiedziała twardo:

— On jest zbyt daleko. Wychyla się do mnie i nic nie może dla mnie. Jest bezsilny.

Nie patrzyłam na nią w tej chwili.

— Jego młodość mię męczy i krzywdzi. Jakże mogę

chociażby obrócić się za nim, chociaż go dostrzec. Jakże ja mogę wespół z nim, obok niego przeżywać tę moją osobną, własną sprawę. Ja go wcale nie widzę — poprzez to straszliwe. Ja muszę się skupić, zgłębić, muszę zebrać wszystkie siły, żeby jakoś, żeby móc...

Stanęłyśmy. W tym miejscu droga nagłym zakrętem przerzucała się niżej na zbocze, między dwa kamienne murki ogrodzenia. Buchnęło stąd gorące powietrze, jak z elektrycznej suszki do włosów.

Tuż poniżej zielonej wiosny rozpoczęło się skwarne, wapienne południe. Całe to nagie zbocze, wystawione na słońce, było poprzegryzane kamiennymi ogrodzeniami i równymi, drobnymi schodkami z kamienia. Zamknięte w obręb tych czworoboków winnice, małe czasami, jak chustka do nosa, jeszcze prawie nagie, poznaczone równo punkcikami przyziemnych pędów winorośli, najeżone setkami równo wetkniętych patyków, czyściutko skopane i uprzątnięte — robiły na całej tej przestrzeni wrażenie olbrzymiego, pracowitego i zbytkownego haftu, wykonanego tylko dla upiększenia. Jakieś smugi cyprysów przesuwały się tu i ówdzie; nad kamiennymi domkami stały wielkie, różowo kwitnące drzewa.

Znów szłyśmy dalej, nie patrząc na siebie. Chciałam teraz, aby milczała. Może i ona chciała także. Ale w pewnej chwili powiedziała jeszcze to:

— Ja tonę, tonę. A on jest na brzegu, on musi zostać na brzegu — i nie może mnie ratować, chociaż tak pragnie. Nie może dla mnie nic...

Odwróciłam ku niej głowę. I widziałam.

Lata przechodziły nad nią w moich oczach. Gdy mówiła, twarz jej robiła się ciemna z rozpaczy. Czerniała, stawała się stara od tych słów. Fałdy przy ustach, gdy je wreszcie surowo domknęła, stwardniały w czarne bruzdy.

Za nowym zakrętem drogi wybłysła wreszcie, niby

wielki szmaragd w oprawie swych zboczy, ubrana w swoje mury, winnice i cyprysy, rozkoszna, jak raj, dolina Rodanu — tak bliska, że wydawała się dostępna ręce wyciągniętej ponad niskim murem z kamienia.

Pokreślona białymi drogami, wyhaftowana miastami, każde ze starym zameczkiem lub klasztorem, ukwiecona ogrodami — była rozkoszą oczów, utęsknioną przystanią dla znużenia wędrówki.

Droga nasza zeszła spośród winnic w jasną ulicę miasteczka. Kamienne domy miały żaluzje z zielonych, drewnianych deszczułek. Z ogrodów pachniały mirty, bukszpany i laury, na murach tkwiły, jak złote i fiołkowe kule, pęki kwitnących pnączy, wyrastających wszędzie ze szczelin w kamieniach.

Szliśmy już wszyscy razem, z rozkołysanymi w kolanach nogami, dobywając reszty sił, by gdzieś odpocząć. I zasiedliśmy wreszcie w ogródku jakiegoś hotelu za stołem, obstawieni nagimi w tarantowatej korze platanami — z mnóstwem grubych, obciętych krótko gałęzi — niby olbrzymimi, wieloramiennymi kandelabrami.

Pan Saint-Albert, uradowany wycieczką, patrzył w oczy swej żony z uciechą i szczęściem. Bo właśnie obmyślił sobie, że musimy koniecznie polecieć „avionem", do Genewy, ponad jeziorem. I musiało tak być, tak bardzo tego chciał. A ona, pociągnięta rozmachem jego słów i urokiem uśmiechu, uśmiechnęła się wreszcie sama — z wysiłkiem i męką.

Ja zaś myślałam: więc to jest aż tak?... Więc to bliskie i nieuchronne, przed czym nie ustrzeże nic prócz śmierci, więc to bliskie i nieubłagane — jest tak straszliwe?

28

Pani de Carfort co dzień po obiedzie szła na pół godziny do biednego Esta, który nie opuszczał już łóżka. Ale nigdy nie szła tam sama. Najczęściej towarzyszyła jej starsza, poważna i bardzo nieśmiała pani Malden.

Wyznała mi, że jej odwiedziny są jedyną przyjemnością tego chłopca. Więc nie może mu jej odmówić.

— Jest z nim bardzo niedobrze i nikogo tu nie ma z bliskich. Tęskni za swoją Rumunią i jednak marzy, żeby tam umrzeć — tam koniecznie, a nie tutaj. Ale nie myślę, by mógł wyjechać w tym stanie...

Ostatnie dni były jeszcze gorsze. Do Esta wzywano obcych lekarzy i miano wezwać depeszą jego ojca. Pani de Carfort była tym do głębi przejęta i aż zmieniona. Pragnęła tego dnia odwiedzić go, jak zwykle, ale właśnie pani Malden już wyjechała. Zapytała, czy tym razem nie chcielibyśmy jej towarzyszyć. Naturalnie, że zgodziliśmy się od razu.

Uśmiechnął się, gdy weszliśmy, rozjaśniła się jego brzydka, smutna twarz. Ta urocza kobieta była jego ostatnią radością.

Słuchał pogodnie, jak strofowała go za upadek ducha, za nieposłuszeństwo względem siostry i doktorów. Twierdziła, że to są kaprysy, zwyczajne „karaluchy", że teraz poleży spokojnie i temperatura mu znowu spadnie.

Zdawał się po trosze wierzyć, ukołysany jej słowami. Ale wierzył tylko on jeden. To się widzi od razu, gdy się już zbliża — w wyrazie twarzy, w trudnej do określenia zmianie uśmiechu. Chociaż i przedtem Est był blady i chudy, i chociaż nawet teraz nie przestawał faire de l'esprit.

— Mój Boże, tak wielu jest Żydów na świecie — zachwycał się Est. — I nigdzie ich nie lubią. Mnie przecież wyrzucili po prostu z Rumunii — i w ogóle wszędzie

chcą się nas pozbyć. Jak wyzdrowieję, muszę zająć się tą sprawą poważnie. Zwoła się wszystkich Żydów, zdolnych do noszenia broni, na jedno miejsce. Nie do Palestyny, broń Boże, za wiele tam jest amatorów. Już ja sobie to obmyślę, gdzie. I zrobimy najście na Europę. Wszystkich niechętnych się wymorduje i założy się państwo żydowskie. Będzie to naturalnie monarchia. I w nagrodę za zasługi ja obrany będę królem.

Pani de Carfort słuchała z życzliwym uśmieszkiem — trochę tylko zaniepokojona, by Est nie mówił za dużo.

— Takie są moje najbliższe projekty — ciągnął Est. — Czy sądzi pani, że odkrywałbym tak swoje karty, gdybym nie miał pewnych widoków? Teraz muszę wiele przemilczeć. Ale gdybym tak był królem Żydów, to by mi dodało pewności siebie — czy nie? I wtedy poprosiłbym panią o rękę. Czy tak łatwo odrzuca się rękę króla — nawet gdyby to był król żydowski?

Pani de Carfort przypomniała mu, że nie może już swoją ręką rozporządzać.

— No, głupstwo — powiedział Est. — Pana Carfort skazałoby się na dożywotnie więzienie, albo nawet na śmierć. Z takimi rzeczami nie można się liczyć poważnie.

Patrzył w nią — słaby, umierający i rozbawiony — tą ostatnią zabawą życia.

— Pani nie może potępiać tych moich zamiarów, pani, która jest monarchistką...

I tym razem niewątpliwie żarty Esta były głupie, a jednak nie raziły tak wybrednej pani de Carfort. Wybaczało mu się wszystko, skoro i tak miał umrzeć.

Potem wysłuchaliśmy cichutkiej muzyki małego gramofonu, którego Est sam nie mógł już puścić w ruch i któremu nie pomagał żadnym jazzem. Potem jeszcze oglądaliśmy książki — dziwaczne i śliczne powieści Panaita Istrati, z którego Est był taki dumny.

Kiedy zabieraliśmy się do odejścia, stracił humor.

— No i cóż — mówił markotnie ze smutnym grymasem brzydkiego dziecka. — Wróci pani sobie do tej swojej Afryki i będzie pani szczęśliwa. A ja...

Patrzyłam na panią de Carfort, która była zawsze taka niedostępna i taka surowa, która nie mogła po prostu znosić tak samo nieszczęśliwie w niej zakochanego Tockiego. Teraz jej uśmiech pełen był tkliwości, a oczy powleczone łzami.

Tak. Bo smutna miłość Esta pełna była wdzięku, a miłość Tockiego była go zupełnie pozbawiona.

29

Ostatnimi czasy mniej widywaliśmy panią de Carfort. Słońce i wiosna pociągały nas do ciągłych wędrówek w górę i na dół. Znałam uprzedzenia pani de Carfort i trudno było zapraszać ją z nami wówczas, gdy towarzyszyła nam panna Alicja. A panna Alicja zawsze wszędzie chciała iść, o wszystkim zasłyszała najwcześniej, cieszyła się i skakała z radości wobec każdego projektu. Więc najczęściej ona właśnie przyłączała się do nas, wyłączając mniej mającą inicjatywy panią de Carfort.

W tym czasie zresztą pani de Carfort nie była usposobiona towarzysko. Mam wrażenie, że naprawdę przejmowała się silnie coraz gorszym stanem Esta i poświęcała mu teraz więcej czasu niż przedtem.

Za to pani Saint-Albert, sama tak chłodna i surowa, nie widziała w sposobie bycia panny Alicji nic godnego nagany. W przeciwieństwie do pani de Carfort miała dla innych wiele wyrozumienia.

— To jest zupełnie naturalne przy jej młodości — powiedziała kiedyś do niej o Alicji. — Jest ładna i ma tyle wdzięku, że mnie to zupełnie nie razi.

Tak. Jej w pannie Alicji nie raziła wcale ta sama młodość, której wybaczyć nie mogła swemu mężowi.

Przypominam sobie jeden spacer, który wystawił niejako na próbę tę jej wyrozumiałość. Spacer, w którym tym razem brała właśnie udział panna Alicja.

Szliśmy niedaleko w dół do najbliższej wsi i mieliśmy wrócić do domu już na śniadanie samochodami.

Panna Alicja, idąca przodem z panem Curchaud, w pewnej chwili zawołała do siebie pana Saint-Albert. Szło jak gdyby o to, że chciała być prędzej na dole, by napić się wody, bo miała pragnienie. I czy pan Saint-Albert nie zna bliższej drogi...

Tak zabezpieczywszy sobie tyły (bo my z panem Tockim i z panem de Flèche szliśmy za nimi) z całą już swobodą żartowała z towarzyszem. Na złość panu Curchaud, jego brała pod rękę, przechodząc spadzistości, jemu kazała rwać trudniej umieszczone fiołkowe krokusy i cytrynowe primavery, a później rzucała je, gdy jej zawadzały.

Byłam jeszcze pod sugestią niedawnych zwierzeń pani Saint-Albert — chociaż od tamtej wycieczki nic się już więcej o tym nie mówiło. Może byłaby wolała, żebym nie zapamiętała tego tak dokładnie. Ale ja nie mogłam już, poza zimną maską jej twarzy, nie widzieć zawsze obecnej, nieustającej, dotkliwej męki.

Pamiętam, że nic w całej tej wiośnie, w tych łąkach, kwiatach, w płacie szmaragdowym doliny, w kwitnących tam w dole brzoskwiniach — nic w tym wszystkim nie było już dla niej radością.

— Ja nie będę kokietowała pani męża! — zawołała do niej, odwracając się, panna Alicja. — Niechaj się pani wcale nie obawia! Ja mam dla niego wiele sympatii, ale tylko siostrzanej!

Padły te słowa, można powiedzieć — padło to wy-

zwanie. I sądzę, że wszyscy pomyśleliśmy wtedy o jednym. Nikt bowiem nie spojrzał na panią Saint-Albert. Prowokacja tych słów, tego zawołania i śmiechu była zbyt jawna — chociaż taka niewinna i bez znaczenia, była w tym wypadku — niewłaściwa.

Może nie raziły one tylko pana Saint-Albert. Bo odpowiedział wesoło:

— To trudno. Będę musiał na tym poprzestać.

Odpowiedział tym żartem — gładko, dobrze, w tym samym tonie, w tej samej już płaszczyźnie. Podjął wyzwanie. I to także zauważyli wszyscy.

Każdy widział, że nie było tu porównania — między tą zuchwałą, bezczelną młodością a spokojem tej zwiędłej kobiety. I pan Saint-Albert na pewno nie robił tych porównań — był na to za delikatny i za dobry. Może to jednak gorzej, że już nie porównywał.

Po stronie pani Saint-Albert była jego miłość, o tym nie wątpił nikt. Ale po stronie panny Alicji było wszystko inne. I na tę chwilę, może tylko na czas tego spaceru, nie można było już nic ratować, nie było w ogóle o czym mówić.

Z początku szedł z tą parą jeszcze pan Curchaud, pętał się tam z całą sprawnością swych czterdziestoletnich nóg sportowca. I on jeszcze wspinał się po jakieś kwiatki, i on od czasu do czasu miał coś do powiedzenia, i on ocierał sobie pot z łysiejącego czoła. Ale odpadł jakoś w pewnej chwili, której tamci nie zauważyli nawet w swej roześmianej, ukwieconej, szalonej drodze w dół.

Pełne światło, ciepło i wiosna przestawiały wartości świata na ich właściwe miejsce.

Bo można sobie było myśleć z panią de Carfort, że panna Alicja jest niesmaczna w swej zalotności, że posługuje się środkami pociągania uwagi mężczyzn zbyt obcesowymi, że jest niewybredna. No tak. Ale jakich-

kolwiek używała środków — jej cel był jeden, zgodny z naturą, z wiosną i pięknością.

Na drugi dzień po tej wycieczce panna Alicja odnalazła mię przed obiadem w pokoju do czytania i korzystając z tego, że byłyśmy same, podzieliła się ze mną swymi troskami.

— Pani nie uwierzy, co ja wczoraj przeżyłam z tym Curchaudem! On jest przekonany, że ja się zgodzę zostać jego żoną i jechać z nim naprawdę do tej Azji. Skąd mu to mogło przyjść do głowy? Mężczyźni doprawdy są śmieszni. Zrobił mi scenę zazdrości o Saint-Alberta. Co za pomysł! Cóż mię może obchodzić Saint-Albert? Zagroziłam mu, że jeżeli natychmiast nie przestanie, to zatrzymam auto i wrócę do domu sama pieszo.

Zamilkła na chwilę i potem się uśmiechnęła.

— Ale ten Saint-Albert rzeczywiście daje mi do myślenia. Pani pamięta, że przecież wymogłam na nim, żeby mnie nie prześladował, żeby wcale nie zwracał na mnie uwagi. Tymczasem sama pani widziała wczoraj, nieprawda? Przez całą drogę po prostu mnie nie odstępował. Jest mi doprawdy przykro — ze względu na nią. Wydaje się bardzo zazdrosna. Przy jego usposobieniu to musi być nieszczęśliwa kobieta...

Panna Alicja na chwilę się zamyśliła.

— Pani rozmawiała wczoraj dłużej z panem de Flèche — odezwała się poważnie. — Co pani o nim myśli. To jest na pewno człowiek ciekawy i głęboki, takie robi wrażenie. Dlaczego stąd nie wyjeżdża, skoro pozwolili mu lekarze, skoro jest zupełnie zdrowy? Wydaje się dziwnie chłodny i obojętny. Czy to możliwe, żeby kochał się w tej chorej Armence, w tej pannie Sossé? Trudno mi w to uwierzyć...

Pytania panny Alicji były niejako retoryczne, bo zdawała się nie czekać na nie odpowiedzi, załatwiała je sama w sposób wystarczający.

— Ale jednego nie może mi odmówić Saint-Albert — powiedziała nagle ze stanowczością. — Jutro muszę mieć z nim pół godziny rozmowy sam na sam, tylko w cztery oczy. Po tym, co było wczoraj, nie wiem zupełnie, co on sobie myśli, o co mu chodzi, na co w stosunku do mnie liczy...

Mówiła o swoich zawiłych i niepokojących sprawach dość długo, zapalając się i płomieniejąc. Wreszcie wstała. Przypomniała sobie bowiem, że od szóstej czeka na nią w tea-roomie pan Curchaud i znowu będzie robił jej sceny, podejrzewając ją nie wiadomo o co.

30

To było u panny Sossé jednego dnia wieczorem, kiedy dowiedziałam się wreszcie, kim była pani Wogdeman — ta małomówna, nikła dama rosyjska o szarej twarzy i oczach daleko patrzących.

Pan Tocki mówił wtedy znowu o rzeczach, które tak żywo zajmowały małą Armenkę. On wierzył, że wojna może się już nie powtórzyć. Wierzył, że przyjdzie czas, gdy nie będzie wojen, wierzył, że nie są konieczne. I widział ku temu wskazania w myśli religijnej nowoczesnej, zdążającej ku pacyfikacji świata.

Swoim niewdzięcznym, trochę złośliwym sposobem snuł dalszy ciąg tego, co przerwał mu wówczas Fuchs.

Tym razem Fuchsa nie było, więc ten temat niczym nam z tej strony nie zagrażał. Sama jednak obecność pani de Carfort musiała też być brana pod uwagę.

— Najważniejsze, co dzieje się w tej chwili — mówił pan Tocki, nie unikając wzroku pani de Carfort — jest proces, który myśliciele nazwali „internacjonalizacją Boga".

— Tak — powiedział z uporem, chociaż pani de Car-

fort milczała — to jest sprawa olbrzymiej doniosłości, chociaż nie wszyscy to widzą. Bo oto czego dowiodła Szwajcaria, kraj, w którym myśl religijna najbliżej stoi życia, kraj, który jeszcze dziś ma swoich proroków, rzucających katedry teologii, by mieszkać w dzielnicach robotniczych i głosić bliskie zejście królestwa bożego na ziemię. Mianowicie, że jest możliwe — dla zrealizowania pewnej określonej koncepcji bytu socjalnego, a więc — i moralnego — pogodzić i połączyć to, co wszędzie indziej wydawałoby się do pogodzenia niemożliwe: języki, rasy i religie — nie tylko różne, ale przeciwne sobie, a nawet wrogie. Ten wzór niezwykły, czyniący z ludności mieszanej silny naród, jest nauką, daną światu, jak ze zwalczających się narodów uczynić ludzkość.

Przez chwilę było cicho. Rzecz szczególna: ci wszyscy cudzoziemcy tutaj, zjeżdżający się z różnych stron świata, synowie wielkich narodów — mieli jakiś ton lekceważenia, ton żartobliwej aprobaty dla tego kraju, z którego kultury, gościnności i piękności korzystali tak chętnie. Jak gdyby dotąd jeszcze myśleli słowami Victora Hugo:

„Le suisse trait sa vache et vit paisiblement"...

Na słowa pana Tockiego nie odpowiedział nikt. Ale wyglądało to tak, że nie odpowiedział nikt. Ale wyglądało to tak, że nie odpowiedział nikt tylko przez grzeczność. Po chwili dopiero odezwała się pani de Carfort:

— I cóż to znaczą te słowa: „internacjonalizacja Boga"?

Pan Tocki skwapliwie podjął:

— To przecież jasne. Proszę sobie tylko przypomnieć, jak wyglądały wojny dawne. Asyria walczyła w imię boga swego, Assura, którego władza kończyła się tam, gdzie terytorium jego państwa. Politeizm naszych przodków to była ciągła, nieustanna zwada bóstw wojujących.

Każdy kraik starożytny miał własnego boga, którego opieki i udziału wzywał, miał swego „pana zastępów". I wszystkie dotychczasowe wojny świata wciąż jeszcze usiłują przeniknąć w niebo, militaryzują Boga, żądają, by zstąpił w błoto i krew ziemi. Modły przed bitwą o zwycięstwo, wciąganie sił niebieskich: na interwencję — czymże jest, jeżeli nie szczątkiem politeizmu.

Mała Sossé leżała cicho w swoim łożu, między zabawkami i kwiatami, słuchając z dziecinną uwagą, z prostą zmarszczką skupienia między brwiami. Ale jej oczy powracały wciąż do twarzy pana de Flèche — jak by z niej dopiero wyczytać chciała prawdę tego, co mówił pan Tocki.

Było bowiem widoczne, że pan de Flèche z pewnym przymusem słuchał tych słów. Gdy nastała chwila ciszy, zaczął mówić powoli z pewną nieśmiałością:

— W żywocie kanonizowanej świeżo świętej Teresy od Dzieciątka Jezus jest takie oświadczenie uzdrowionej przez tę świętą Marii Duereux. Gdy pogrążona była w modłach i błagała Boga o zwycięstwo dla Francji, ukazała jej się święta Teresa i powiedziała: „Nie dozwolone jest przenikać wyroki Boże".

Sossé nie spuszczała teraz oczu z mówiącego.

— To jest prawda, którą ludzie muszą zrozumieć: że Bóg jest p o n a d n a r o d a m i. Muszą zrozumieć, że nie o wszystko trzeba się modlić, że nie o wszystko — wolno się modlić...

Sossé mimowiednie uśmiechnęła się do pana de Flèche, chociaż on na nią nie patrzył, karmiła się jego słowami.

Wierzyła mu, ponosząc raz jeszcze tę wielką ofiarę, za niewątpliwą prawdę jego wiary płacąc przecież całą swoją nadzieją.

Pan Tocki przerwał:

— Właśnie w tym gorszącym zaślepieniu wieków pierwsza zrobiła wyłom Francja. Jej wojska szły w bój

bez modłów o zwycięstwo. I przyjdzie czas, gdy wszystkie narody zrozumieją neutralność Boga. Nastąpi Jego internacjonalizacja. A wtedy wojna stanie się niemożliwa, utraciwszy swoją sankcję.

Teraz odezwała się pani de Carfort:

— To jest nieprawda. To, co pan mówi, to są idee Wilfreda Monoda, który nie jest katolikiem. On właśnie przypomina mi waszego „wyzwolonego" szwajcarskiego proroka, Leonharda Ragaz, który nie wiem, o czym poucza zurychskich robotników, i nie wiem, jak sobie wyobraża królestwo boże na ziemi — ale myślę, że dosyć podobnie do Republiki Sowietów.

Gdy ona to mówiła, pan Tocki chmurniał, w oczach po prostu gasł i szarzał.

— Ale jedno przecież wiem z pewnością — ciągnęła pani de Carfort — że żadna wielka sprawa w dziejach świata nie zwyciężyła bez przelewu krwi.

— Nawet chrześcijaństwo — mruknął półgłosem pan Tocki, nie patrząc na nią.

— Tak, nawet chrześcijaństwo — powtórzyła ona ze spokojem.

31

Przez cały czas tej rozmowy siedziałam w kącie ukwieconego pokoju panny Sossé, na małej, głębokiej kanapce, obok milczącej również pani Wogdeman.

W chwili gdy pani de Carfort wspomniała w uniesieniu Republikę Sowietów, uczułam, jak pani Wogdeman poruszyła się niespokojnie.

Wiedziałam niejasno, że miała ciężkie przejścia w tej swojej ojczyźnie, że przeżyła jakieś rzeczy, o których wcale nie mogła mówić. Tyle ich jest po świecie, po francuskich powieściach i sztukach teatralnych tych rosyjskich księżniczek, którym zabito mężów albo odebrano

brylanty, tych poetycznych dam, które z magnatek stały się nędzarkami, że sprawa stała się aż nadto znana. Coś w tym duchu wyobrażałam sobie właśnie na temat pani Wogdeman i bez trudności przychodziło mi być w stosunku do niej dyskretną.

Stało się jednak to, co było niedawno z panią Saint-Albert. I pani Wogdeman bowiem zapragnęła powiedzieć mi prawdę o sobie. Była ona zupełnie inna, niż oczekiwałam.

— Ja nie jestem emigrantką z musu, pani wie? — odezwała się swym cichym głosem, bez tchu. — Ja mogłabym wrócić tam...

— Czy tak? — powiedziałam wyczekująco.

— Tak. Mogłabym wrócić w każdej chwili, gdybym tylko zechciała.

Odetchnęła głęboko — tak, jak by to było westchnienie.

— Ale ja nie wracam — dokończyła i znowu westchnęła.

Pomyślałam sobie, że to widocznie już wszystko — i dalej przysłuchiwałam się rozmowie tamtych.

Ale pani Wogdeman pochyliła bliżej ku mnie swą szarą twarz i powiedziała prawie zupełnie cicho:

— Ja sama nie chcę wrócić — pani rozumie? Wogdeman — to jest moje nazwisko panieńskie. Właściwie zaś nazywam się N.....a.

— Czy tak? — spytałam znowu.

— Tak. N..... to właśnie jest mój mąż.

Leciutki powiew sensacji szedł od tej wiadomości, budząc pewną nieufność i zarazem zaciekawienie.

— Więc mogłabym wrócić, skoro mój mąż jest tam w rządzie — prawda?

Powiedziałam bezstronnie.

— Zapewne robi to z przekonania.

— O tak — odrzekła prędko. — On jest najgłębiej

przekonany, że to jest dobra sprawa. To wiem z pewnością. Nie ma ofiary, której nie poniósłby bez wahania... Ja byłam tam, byłam przy nim od pierwszego dnia i widziałam wszystko, walkę i krew...

W tym miejscu właśnie wypadły te słowa pani de Carfort, zwrócone do Tockiego: „żadna wielka sprawa w dziejach świata nie zwyciężyła bez przelewu krwi".

Pani Wogdeman na chwilę umilkła, słuchając. Ale znowu zaczęła mówić:

— Tak. Bo to, co było przedtem, było złe i musiało zginąć. Więc gniew tego ludu był sprawiedliwy. Złem była wojna i złem były więzienia, i władza życia i śmierci jednych nad drugimi.

Słuchałam jej cichego głosu z największą uwagą. Bo tego nie słyszałam dotąd. Pani Wogdeman była dla mnie w tej chwili daleko bardziej interesująca od tych różnych księżniczek rosyjskich z romansów francuskich i teatrów, którym odebrano rodowe klejnoty, a one tańczą w paryskich kabaretach albo usługują w kawiarniach, akomodując się do nowego życia z całą sprawnością wysportowanych mięśni i całą elegancją dobrej rasy.

— Tak — powtórzyła z wysiłkiem, jakby starając się coś sobie przypomnieć. — Nie we wszystko powinno się wierzyć, co się tu w Europie o nas drukuje.

— I czemuż pani wobec tego nie chce tam wrócić?

— Naturalnie, to jest dziwne. Bo w tych strasznych czasach nie utraciłam przecież nikogo z bliskich, nikogo mi w moich oczach nie zabito, nie zamknięto mię i nie badano w cze-ka, nawet nie odebrano mi nic, nawet ani razu nie byłam głodna, gdy inni umierali z głodu... Ja nie wiem, czy pani mię rozumie: *ja zawsze miałam co jeść*...

Było mi trudno powiedzieć, że ją rozumiem. A ona spostrzegła nagle, że jednak powiedziała za dużo, że już

tego nie powinna była mi mówić. Opanowała się i ochłodła.

— Ofiary były straszne, ofiary, o których nawet nie można myśleć. Więc czekałam... Ale później już nie mogłam czekać...

To było to samo, co już raz uderzyło mię w pani Wogdeman, gdy tak dziwnie i tak prawie uroczyście mówiła wtedy u panny Nory o Fuchsie. Tak, to było w niej najsilniejsze: zrozumienie, czym jest klęska moralna. Temu odpowiadało coś gotowego w niej samej, struna dźwięcząca z głębi instrumentu na głosem wzięty ton.

— Nie mówię, że nie zmieniło się nic — powtórzyła pani Wogdeman — nie, tego nie mówię. Zmieniło się bardzo wiele. Ale to jednak zostało, to właśnie: wojna, więzienie i władza życia i śmierci jednych nad drugimi...

Wysłuchałam tego wszystkiego i milczałam. Cóż mogłam powiedzieć? Jakże miałam ją pocieszać, skoro ona tak właśnie myślała, tak to czuła. Skoro cierpiała bardziej nad krzywdą wyrządzoną, niż inni cierpią z powodu krzywdy doznanej. Skoro wierzyła kiedyś w dobro tej sprawy, a teraz znieść nie mogła rzeczywistości rewolucji zwycięskiej — i ze swym bankructwem moralnym przyszła aż tu, by przynajmniej nie widzieć, by zapomnieć...

Tymczasem mała Sossé, na prośbę pani de Carfort, przeczytała swój znany mi przekład pieśni armeńskiej:

Panie, zmiłuj się nad nami,
Panie, zmiłuj się nad nami.
Święta Trójco, ześlij pokój na ziemię,
Daj zdrowie chorym,
Ulżyj cierpiącym!

— Tylko dotąd — powiedziała Sossé, patrząc poważny-

mi dziecinnymi oczami w twarz pana de Flèche. — Bo nie o wszystko wolno się modlić...

— Tak, tylko dotąd — odpowiedział on. I uśmiechnął się do niej ze smutkiem i wdzięcznością.

Pani Wogdeman siedziała z zaplecionymi na łokciach chudymi rękami i oczy miała utkwione poza otwarte okno pokoju małej Sossé, najdalej, jak się dało: w zaśnieżony szczyt Dent du Midi, pod niebem wiosennym z gwiazdami.

— Il n'y a de vraie révolution que morale — powiedziała półgłosem słowa Duhamela, które ja pamiętałam także.

— Bo inaczej czyżby rewolucja to było tylko nadanie tym samym rzeczom innej nazwy?...

32

Stało się tak, że w tym samym mniej więcej czasie ubyli spośród nas państwo Saint-Albert i Est.

O Eście myśleliśmy z początku, że po prostu umarł. Te rzeczy odbywają się zwykle bardzo po cichu w takich miejscach. A że pani de Carfort nie przychodziła wtedy przez parę dni do stołu — co się zresztą często zdarzało z powodu jej newralgii — więc z nikim nawet nie rozmawialiśmy o Eście.

Za to państwo Saint-Albert zainteresowali wszystkich.

Pewnego dnia po prostu znikli. W kwiecistym, słonecznym pokoju, gdzie siadywali, było pusto przez dwa dni. A potem zasiadła tam młoda para ludzi nieznajomych, którzy przyjechali niedawno i o których Carrizales znowu mówił, że na pewno nie są małżeństwem.

Charles, zapytany, powiedział, że państwo Saint-Albert wyjechali nagle na skutek listu, który dostali z Paryża. Ale to nie budziło zaufania. Charles mówił to bowiem z taką miną, jak się mówi w sanatoriach, że wyjechał, o kimś, co umarł. Natomiast panna Hovsephian utrzymywała, że pani Saint-Albert rozchorowała się na serce, że zaszkodziło jej powietrze gór. I chorą zawiózł mąż gdzieś w dolinę.

Gdy była o tym mowa, panna Alicja uśmiechnęła się do mnie przez stół porozumiewawczo. Ale ja nie od razu zrozumiałam, o co chodzi.

Coś jednakże prawdy było o owym liście z Paryża. To pan de Flèche powiedział wieczorem u małej Sossé, że wyczytał w dziennikach wiadomość o śmierci pierwszego męża pani Saint-Albert, który był zarazem — jak wiadomo — wujem jej męża drugiego. Jakieś więc względy rodzinne mogły ich skłonić do tak nagłego wyjazdu.

— Trudno jest przypuszczać, żeby ich zaproszono na pogrzeb — mówił, udając zgorszonego, Carrizales.

Naturalnie, że gdybyśmy koniecznie chcieli się czegoś dowiedzieć, to na pewno by nam się to udało. Ale ciekawość nie sięgała znowu tak daleko. Nikomu na myśl nie przyszło naprawdę wypytywać pana de Flèche, który znał ich dawniej i mógł coś wiedzieć, ani panny Hovsephian, z którą tutaj żyli może najbliżej. Odnoszono się do całej sprawy z odcieniem żartobliwego lekceważenia, z leciutkim niesmakiem wobec małego, ale niewątpliwego skandalu, jaki wywołał sam fakt tak niedobranego małżeństwa.

Jedna panna Hovsephian nie mogła ukryć zdziwienia i pewnego żalu, że państwo Saint-Albert, którzy nikogo nie pożegnali, nawet dla niej nie zostawili paru słów wyjaśnienia.

— Ja wiem, że ona już dawniej chciała wyjechać — mówiła Armenka. — Ona nie czuła się tutaj dobrze...

Panna Alicja na cały dzień następny wyjechała na wycieczkę z Curchaudem. Zjawiła się dopiero nazajutrz

przy śniadaniu i zaraz oznajmiła, że ma mi coś do powiedzenia.

— Miałam ogromnie ciekawą rozmowę z panem de Flèche, zrobił na mnie silne wrażenie i myślę, że on także mną się zainteresował.

Zasiadłyśmy w pustym o tej porze, ukwieconym pokoju państwa Saint-Albert, i panna Alicja mówiła do mnie, jak zwykle, z wesołością i prostotą:

— Jest we mnie coś, co doprawdy dziwnie działa na wszystkich mężczyzn. Bo o panu de Flèche myślałam, że jest chłodny i niedostępny, że może naprawdę zajęty jest tą Armenką. Tymczasem i on także... Powiedział, że szkoda mu mojej młodej duszy na to targowisko świata, że nie jestem na dobrej drodze, że moja dziwna natura zanadto silnie pociąga mnie ku radościom życia. Był niezwykle szczery. Mówił, że wiele rzeczy mu się we mnie nie podoba, a przecież...

Roześmiała się głośno.

— Szło mu o tych Saint-Albertów. Musiał się widocznie wszystkiego domyślać.

— Czego? — zapytałam uważnie.

— Proszę pani, przecież ta jej choroba nagła to była po prostu komedia. Ona to zrobiła umyślnie, umyślnie go stąd zabrała, by mu nie dać ze mną się widywać. Naprzód nie odstępowała go wcale. Ciągle i wszędzie widywało się ich przecież razem i dwóch słów nie można było z nim zamienić. Och, to była taka prosta gra, ja się na tym poznałam od razu. A później, kiedy wreszcie posłałam mu karteczkę, że muszę koniecznie z nim się widzieć, i prosiłam go, żeby sam oznaczył porę i miejsce, to mi najgłupiej odpowiedział, że możemy się spotkać wieczorem po obiedzie w salonie, tu — to znaczy w całej gromadzie ludzi! Przy Curchaudzie, który będzie mi robił sceny, i przy niej! Pani rozumie, że tego przecież nie mógł napisać sam, że tak napisać kazała mu

ona. Toteż wyśmiewałam się z niego, gdy mię wieczorem zapytał, co mam mu do powiedzenia. Udawał nadąsanego, a wciąż obracał się ku niej z niepokojem, czy na nas nie patrzy. Ubawiłam się świetnie, ale pan de Flèche powiedział mi, że jestem niedobra...

Szczerość panny Alicji, a także wspomnienie tej wspólnej wycieczki sprawiły, że w wyobraźni mojej wyjazd państwa Saint-Albert zaczęłam łączyć z niebezpiecznym usposobieniem uroczej Rosjanki. Ale muszę wyznać, że tym razem przenikliwość moja mię zawiodła. Zbyt często bowiem sprawy mają się inaczej, niż na pozór wyglądają.

Tegoż dnia wieczorem, po raz pierwszy od paru dni, zeszła na obiad pani de Carfort. Jej uroda, wydelikacona niezdrowiem, jeszcze raz na nowo wydała mi się dziwnie spokojna i szlachetna.

— Esta już nie ma — odezwała się do mnie pierwsza. Jej powieki, ciasno obejmujące wspaniałe, ciemne oczy, były chudsze niż zwykle i spojrzeniu jej nadawały wyraz zmęczenia.

— Czy umarł? — zapytałam.

— Nie! Odjechał stąd jeszcze żyjący. Zabrał go ojciec. Ale niemożliwe jest, aby przeniósł tę drogę. Nie powinni byli mu na to pozwolić — dodała surowo — ale o n i zwykle godzą się chętnie na wyjazd chorych stąd, gdy t o jest pewne...

Westchnęła.

— Ostatni raz byłam u niego sama, wezwał mię umyślnie przez siostrę. To był jedyny raz, kiedy już wcale nie żartował. Powiedział poważnie, że nie może tutaj umrzeć. Że nie chce. Że to jest zupełną niemożliwością.

Spuściła powieki, by nie było widać, że oczy jej powlekają się łzami. I dziwnym, zupełnie nie swoim, suchym, twardym głosem powiedziała:

— Zaproponowałam mu to sama, a on się po namyśle

zgodził. Wezwano księdza i Est przyjął chrzest przed śmiercią.

Patrząc na panią de Carfort, mogłam być zupełnie pewna, że była w stanie to zrobić i że nie zawahała się ani na chwilę.

— Zaraz potem odwieziono go na dworzec. Niechaj pani zważy, jakie to dziwne, jakie to niezmiernie znaczące, że on mógł umrzeć t y l k o w R u m u n i i...

33

Zauważyłam, że z każdym z tutejszych naszych znajomych chodziło się gdzie indziej i z każdym o czym innym się rozmawiało.

Z państwem Vigil chodziliśmy zawsze w jedną stronę, drogą na prawo — do lasu, gdzie wykuta była w skale malownicza dróżka, odgrodzona od przepaści zwyczajnym, miłym płotkiem z pni młodych świerków. Zabieraliśmy ze sobą kodaki, robiliśmy zdjęcia i porównywaliśmy później ze sobą, komu się lepiej udały. Prześliczny był las pod śniegami, każde zdjęcie wyglądało jak ilustracja do bajki. A później, gdy już śniegi stopniały, wewnątrz lasu w słoneczny dzień można było myśleć, że to jest lato — bo i tak nic tam nie było, prócz świerków, a na ziemi suchego igliwia i szaroróżowych skał, które przecież nie zmieniały się nigdy.

Las ten i w nim owa powyginana, objęta płotem dróżka kończyły się po pewnym czasie odkrytym, pochyłym pastwiskiem, też jakoś po naszemu takim zwyczajnym płotem ogrodzonym. A na brzegu pastwiska, prawie nad urwiskiem, stał mały szalet drewniany, bardzo stary, z dziwnym, ozdobnym ganeczkiem, starą studnią, nakrytą deskami, i jednym wielkim, nagim jeszcze drzewem, pochylonym nad spadzistością.

Szalet nie był wcale zamknięty, przez okienko widać było różne proste sprzęty i naczynia mleczarskie. Ale nikt tam jeszcze nie mieszkał. Później dopiero miały tu przywędrować z dołu krowy ze swoim pasterzem.

Na deskach, nakrywających niziutką studnię, można było doskonale siedzieć i patrzeć przed siebie ze zdziwieniem. Bo ten poczerniały, stary pusty domeczek stał tu zawieszony nad przepaściami powietrza, nad otchłanią najcudniejszych widoków — także, jak chałupka z bajki.

O dziesięć kroków od naszych nóg kończyła się pochyłość pastwiska, kończyła się jakby cała dotykalna rzeczywistość. Bo tuż nad tą krawędzią zaczynał się mleczny, naświetlony błękit oddalenia, ogromny przestwór, głębina świata, ukształtowana w góry i doliny, wody, pola, lasy i miasta. Czyż można było uwierzyć w to, tak od razu, mając przed sobą ten skrawek żółtawej, niskiej trawy, ten jakiś mały krzaczek przy błocie na prawo, sięgający swoją boczną gałązką wyżej niż tamte najdalsze góry...

Było to miejsce, do którego musiało się wciąż powracać, o którym myślało się, będąc daleko. I właśnie zawsze jakoś wracaliśmy tam z państwem Vigil.

Pan Vigil, jak już mówiłam, był strasznie zapalonym myśliwym i wiele miał o tym do powiedzenia. Zajmowało go wszystko, co miało z tym jakiś związek. Kochał naturę i jej piękność, ale też właśnie od tej strony, w tej płaszczyźnie — jako teren życia różnych zwierząt, dających się tropić, śledzić i zabijać. Rok jego dzielił się nie na pory roku, ale na różne okresy polowań.

Toteż z państwem Vigil najczęściej mówiło się o polowaniu, o zwyczajach łowieckich u nas i u nich, o różnych gatunkach ptaków i innych zwierząt do zabijania. Psy także były ogromnym tematem, który po prostu nie wyczerpywał się nigdy. Dużo też można było mówić

o fotografii, o różnych aparatach i rodzajach klisz, i o zdjęciach, które się nie udały. Bo państwo Vigil byli młodzi, weseli, pełni życia i stanowili miłe towarzystwo na takim spacerze.

Za to o innych rzeczach nie można było z nimi przyjemnie mówić. Na przykład jeżeli szło o książki, to pan Vigil nie czytał zupełnie nic, a pani Vigil najbardziej lubiła powieści baronowej Orczy. Jeżeli zaś szło o ludzi, to państwo Vigil mieli niezmiernie dużo uprzedzeń różnego rodzaju. Zresztą pogardzali prawie każdym narodem, wyśmiewali Francuzów i Hiszpanów, brzydzili się Murzynami, a Irlandczyków uważali za zbójców i morderców.

Nie tylko oni! Zawsze myślałam sobie, że właśnie zupełnie inna niż państwo Vigil jest miss Norah — wrażliwa na wszystko, wszystkim życzliwa i współczująca żywo nie tylko losowi panny Sossé, ale mogąca się przejąć nawet losem takiego Fuchsa!

Tymczasem i ona w pewnej chwili zrobiła mi niespodziankę.

Raz pożyczyłam od niej jakąś niezwykłą powieść angielską, w której stosunek Irlandczyków do Anglii był przedstawiony nie tylko obiektywnie, ale z niewątpliwym współczuciem.

— Podobała się pani ta książka? — spytałam.

— Och, bardzo! — zawołała ze swoim zwykłym zapałem panna Nora.

Później pomyślała chwilę i dodała:

— Mnie także bardzo żal jest Irlandczyków, doprawdy bardzo. Ale oni są niepoprawni.

— Z takich rzeczy trudno się poprawić — powiedziałam.

— Tak, naturalnie. Ale to dziwne — wie pani, to jest jednak silniejsze ode mnie: ja ich nienawidzę.

— Co? — spytałam zdziwiona. Myślałam, że źle ją rozumiem.

— I hate them — powtórzyła wyraźnie, patrząc mi w oczy wejrzeniem szczerym i pogodnym.

34

Jak morze — dalekie góry mają tę cudowną nierealność oświetlenia i koloru, nietrwałość perspektywy, nieuchwytność konturów i granic, w których nic nie jest przesądzone — i zawsze jeszcze zupełnie na nowo może się stać. Nic nie jest bezpowrotnie wiadome, a wszystko jeszcze raz możliwe.

Z przeplatania się mgieł białych, różowych i zupełnie złotych, z jasnozielonych okien między obłokami w niebie, z sypiących się wieczorami na szczyty i doliny płatków mosiądzu, z puchów światła liliowych jak bez, poprzez wszystkie natężenia nieprzeliczonych błękitów aż do najciemniejszego, aż do zupełnie czarnego — wynika to, co może nie jest prawdziwe, ale jednak jest prawdopodobne: dobro życia.

Znów kiedyś samochodem zjechaliśmy z gór na tę dolinę.

Wyprostowały się wielkie zagiby białej szosy wzdłuż płaskiej, puszystej, zielonej niziny rzecznej. Po obu stronach stały szeroko i opiekuńczo ściany skalne i dalekie, śnieżne, zza obłoków wyglądające łańcuchy wierzchołków.

Mknęliśmy równo w tej ciszy i spokoju, pędem naszym obudzając ciepły wiatr uśpiony, który miotał się i trzepotał koło naszych twarzy, a nie poruszył listka, wiszącego w słońcu u przydrożnej gałęzi. Biały kurz spod kół przeskakiwał na prawo i na lewo, gonił nas przez

chwilę i kładł się zaraz po tym tuż za nami, nie mogąc dalej ulecieć.

Aż zajaśniało na lewo zza drzew — poziome, niebieskie światło cichej wody Lemanu.

Minęliśmy ogrody Ville-Neuve, a dalej mały, ozdobny zameczek w kępach zieleni, stojący na szklanej wodzie — jak nieodpowiednia ilustracja do ponurej legendy Byrona. I poprzez zalane słońcem ulice nadbrzeżnych miast, pod ukwieconymi murami willi i pałaców dojechaliśmy do naszej znajomej przystani w rogu jeziora.

Minęły różne godziny i przyszedł wieczór. Płyniemy we dwoje po ciemniejącej wodzie. Góry brzegów owinęły się w szare i granatowe błękity, przestały być rzeczywiste. Jedno pierwsze żółte światło przystani cieknie wciąż w dół ku nam, leje się wzdłuż wody — i zanim do nas dojdzie, kończy się w paru mokrych, ruchomych, niknących połyskach.

Płynę twarzą na zachód — w tę stronę świata, gdzie niebo i ziemia otwiera się przede mną różanofioletową głębiną.

W przezroczystym, różowym złocie powietrza i wody wiszą jednakowe ciemne chmurki, jak mokre pęczki fiołków. Szklana jasność, lekko się kołysząc, podpływa pod czarny burt naszej łodzi, rozstępuje się i zstępuje za każdym cichym kląśnięciem wioseł.

— A z tej strony, popatrz, jest już zupełna noc.

Tak, wiem, ale tam jest straszno. Nie chcę tam patrzyć, nie chcę nawet odwrócić głowy. Tam mleczno-granatowa ciemność zawleka świat, sypie się szeleszcząco i zastyga. A płynna cynowa płyta wodna robi się płaska i cienka pod ciężarem ciemności.

— Pamiętasz, jak na Rajgrodzkim Jeziorze nocą bałaś się płynąć do drugiego brzegu z lasem...

— Tak, to pamiętam.

— I ze środka jeziora musieliśmy wrócić...

Usiłuję jeszcze patrzyć na zachód, gdzie ostatnie smużki liliowe i złote na niebie i wodzie już gasną.

Dużo już teraz świateł cieknie ku nam od brzegu wąskimi, mokrymi, dygocącymi smugami. A woda, po której płyną, jest czarna.

— Tak. I pamiętam jeszcze Gopło i jezioro Kań, i Białe, po którym pływaliśmy nocą. Tu jest tak pięknie, ale i tam było cudownie.

I tam, i tu — my. Zbieramy sobie tak urodę świata do naszych serc i do naszej pamięci.

Bo wobec każdej na świecie piękności, tu i tam — właśnie tam, gdzie byliśmy i gdzie powrócimy — powtarza się i trwa już odtąd niezmiennie to: my dwoje.

Łódź idzie wolno, a wodne smugi nadbrzeżnych latarń cofają się przed nami, robią się coraz krótsze, prędko spływają w głębinę.

Wsuwamy się ukośnie w wąskie, czarne, puste miejsce w długim szeregu łodzi. Stuknęła deska pomostu, ciemny człowiek uchwycił ręką za burtę.

Wśród czarnej zieleni ogrodu zamglił się bielą kamień pomnika. Z buczeniem przejechał pod murem duży tramwaj. Zza drzew zajaśniały blaskiem ulice miasta.

35

Zanim doszliśmy do miejsca, gdzie miał czekać na nas szofer, spotkaliśmy pana Saint-Albert. Szedł ku nam z góry, po cichej, światłem zalanej ulicy. W palcach niósł jakieś lekkie paczki ze słodyczami czy owocami.

Jego powitanie z nami było serdeczne i zupełnie swobodne. Nie czuł się wcale skrępowany tym niespodziewanym spotkaniem — pomimo że sposób, w jaki się rozstaliśmy, nie był zupełnie jasny. Po prostu przemilczał to i nie wdawał się w żadne usprawiedliwienia.

— Żona moja jest tutaj także, jest tutaj razem ze mną — powiedział, jak byśmy przypuszczali, że sprawa ma się inaczej. — Jej zdrowie nie jest jeszcze zupełnie dobre. Ma osłabienie mięśnia sercowego, więc zalecają jej jak najmniej ruchu. Musi wiele wypoczywać.

Kazaliśmy ją pozdrowić, ale nie ofiarowaliśmy się z odwiedzinami. On także nie mówił o tym wcale i życzliwie przyjął wiadomość, że za pół godziny odjeżdżamy.

Zauważyłam, że się prawie nie uśmiechał, że jeszcze trudniej było mu się uśmiechnąć do końca niż dawniej.

Więc odjechali tylko tak niedaleko! Byle nie być już tam, byle odejść od tamtych ludzi.

Pod sugestią tego, co tam u nas na górze o ich wyjeździe mówiono, nie umiałam jakoś naprawdę wierzyć w to, że pani Saint-Albert jest chora. Przez cały czas wyglądała tam przecież doskonale i na wycieczkach nigdy nie robiła wrażenia zmęczonej.

Mimo chęci najbliższa prawdy wydawała mi się koncepcja panny Alicji — może dlatego, że wyrażona była z pewnością siebie, nie dopuszczająca wątpliwości.

Nie wiedząc, o co chodzi państwu Saint-Albert, nie mówiliśmy wcale w domu o tym spotkaniu.

Tymczasem wkrótce po powrocie dostałam list od pani Saint-Albert.

Napisała mi, że jest wciąż chora i zupełnie sama, i gorąco prosiła, by ją odwiedzić, jeżeli tylko wybierzemy się znów na jezioro. Zrobiłam to oczywiście bez wahania.

Gdy zobaczyłam panią Saint-Albert, musiałam uwierzyć w jej chorobę. W oknach jej hotelowego pokoju story były zapuszczone i od słońca, świecącego na świecie, światło wnętrza było ciepło-różowe. Pani Saint-Albert leżała w ubraniu na łóżku i nie podniosła się, gdy weszłam. Raziło mnie, że miała obute nogi skrzyżowane po prostu na atłasie kołdry. Myślałam, że jest w jasnych pończo-

chach, tymczasem spostrzegłam, że miała pantofelki nałożone wprost na nagą stopę.

Doprawdy, sposób jej chorowania był jakby nie dość zorganizowany, nie ustalony. Ale jednak nie mogłam mieć wątpliwości. Jej twarz zmalała, oczy były okrążone cieniami. Wyraz ust też miała zmieniony, i to w szczególny sposób. Mianowicie schudły jej wargi, zrobiły się cienkie i wiotkie.

— Nie mogę już wcale leżeć — powiedziała do mnie. — Ale jak tylko wstanę, zaraz mi się pogarsza.

Więc mówiło się przez chwilę o doktorach i kuracji. Aż pani Saint-Albert powiedziała po prostu:

— Mnie jest wszystko jedno, jak to sobie tam wytłumaczono. Nic nie wiem, czy dowiedzieli się, czy nie. To Saint-Albert taką do tego przywiązuje wagę, taki jest jeszcze dziecinny...

— Wiedzą wszyscy, że pani zalecono wyjazd na dół. To jest częste, że nie można znieść wysokości.

Popatrzyła na mnie z uwagą i powiedziała:

— No tak. Ale przedtem byłam przecież zdrowa.

Milczałam. Na Boga, nie do mnie przecież należało wyjaśniać przyczynę ich wyjazdu.

— Tak — powtórzyła — Saint-Albert wielką do tego przywiązuje wagę. Więc się zgodziłam. Chciaż jest mi wszystko jedno, gdzie żyję czy też gdzie umieram.

Urwała, by głęboko odetchnąć.

— Skoro i tak to nie jest tam. Skoro to już nie może być tam...

Ponieważ wydało mi się, że znowu z trudem chwyta powietrze, więc chciałam, by nie męczyła się rozmową. Jednak nie dała mi odejść.

— Winna jestem wytłumaczyć pani pewne rzeczy, całe to moje — dziecinne małżeństwo. Chciałabym, żeby pani się nie dziwiła... Bo tłumaczy mię czysty zbieg okoliczności, sytuacja...

Więc słuchałam, skoro tego chciała, skoro za wszelką cenę musiała o tym mówić...

— To moje małżeństwo wydaje mi się czymś obrażającym moralność. Czy można tak powiedzieć? — czymś przeciwnym naturze. Przez kilkanaście lat nie zauważyłam jego istnienia obok siebie, tego małego Saint-Alberta, jego dziecinnej adoracji. Przyjeżdżał do nas na wszystkie ferie, był jakby naszym synem, przebywał z nami tygodnie i miesiące — i tak, nie zauważony — znowu odjeżdżał. Byłam jego ciotką lub prawie matką — niedobrą matką, która nie umiała go kochać. Byłam tą, która pierwsza powiedziała mu, że teraz już może pozostawać w salonie, gdy przyjeżdżają goście. Nie mogę myśleć o tym bez przykrości, bez pewnego obrzydzenia. To jest rzecz tak zawstydzająca...

Pani Saint-Albert nie leżała już teraz na wznak, tylko skuliła się, podwijając nagie nogi pod brzegi szlafroka. Zdjęte pantofelki pozostały same na kołdrze. Było jej zimno, więc podałam jej szeroki szal z włóczki, leżący dalej na kanapie. Jednak nie chciała rozebrać się i wejść pod kołdrę. Chciała mówić.

— Zmieniło się to dopiero w czasie pewnych straszliwych przejażdżek konnych. Jeździłam już wtedy zawsze sama, to jest sama albo z Saint-Albertem.

Nasza okolica ma inny kolor niż każde inne miejsce Francji. Powietrze jest tam jakieś białawe i dziwnie przesłania cały świat. Zieloność winnic, kwiaty wiosną — wszystko widzi się jakby przez biały tiul. I wydaje się, jak by nigdy nie było zupełnej pogody — chociaż jest słońce i nie ma chmur. Nie wiem, czy to jest taka lekka mgła lub może jakiś pył, załamujący wszystkie promienie. Przez piętnaście lat wszędzie tam byliśmy razem — konno albo samochodem, drogami, które nad rzeką wszystkie ostatecznie kończą się w takich gajach z kwitnącymi krzakami. I zawsze podziwialiśmy białość tego

powietrza, które gdzie indziej jest przecież niewidzialne. Przez całe piętnaście lat zawsze jednak trochę nas to dziwiło. Ale potem już jeździłam sama albo z Saint-Albertem. I jak, zanosząc się od płaczu, mogłam obejmować szyję konia albo pień młodego drzewa, tak samo mogłam przecież objąć kiedyś szyję Saint-Alberta.

...To się stało w taki sposób, ale to mnie jednak nie tłumaczy, to nic nie poprawia tej sprawy. To jest niemoralne, że resztą swego życia żeruję na jego młodości. On to wszędzie pociąga mnie za sobą, wydźwiga na powierzchnię, przez niego mogę być w podróży, chodzić po górach, iść i wracać — żyć. Ale ja już nie chcę tego, chcę ciszy i śmierci. Czyż to wreszcie nie jest zrozumiałe, czyż to nie jest jasne?...

Jego miłość mię męczy, jego miłość mię — o b r a ż a. Gdyby nie on, już bym przecież nie żyła. To on — po raz drugi — mię odratował...

36

W pokoju małej Sossé, pełnym zabawek, książek i kwiatów, zapadał zmierzch. Nie zauważyłam, aby się poruszyła — i nagle, w pewnej chwili, jedno światło, owinięte w różowy jedwab, zaświeciło ze ściany tuż ponad dużym drzewkiem bzu. I białe gwiazdeczki jego kiści zrobiły się bladoróżowe.

Sossé trzymała w cienkich paluszkach kościaną figurkę Chrystusa, którą dostała niedawno od pana de Flèche.

Wyznała mi cichym, śpiewnym swoim głosem, że teraz już jest szczęśliwa, naprawdę jest szczęśliwa.

— Dlaczego teraz?

Teraz jest szczęśliwa, ale przedtem jakże cierpiała... Od niedawna bowiem dopiero odzyskała to największe dobro — łaskę wiary.

— Tak, bo chciałam żyć bez Boga — i zostałam za to ukarana. Jakże mogłam pomyśleć, że to jest możliwe. Przeżyłam całe lata straszliwej do Niego tęsknoty, długie lata niepewności i zwątpienia. Ileż wtedy cierpiałam...

Po raz pierwszy słyszałam skargę Sossé. Ale mówiła o swoim smutku minionym przecież po to tylko, aby dać mi pojęcie o teraźniejszym swym szczęściu.

I ciągle szukałam Boga. Szukałam Go na próżno pośród mych umęczonych myśli — aż do dnia, w którym Go odnalazłam.

Przestała mówić, myśląc.

— Nie, nie tak. To nie ja odnalazłam Boga. To On miał litość nad mymi łzami dziecka, nad moją słabością i nędzą — i odszukał mię w moich ciemnościach, gdy na próżno wyciągałam do niego ręce...

Uśmiechała się z nieśmiałym zachwytem, to mówiąc.

— Zaczęło się to dawno — opowiadała znów po chwili — zaczęło się już wtedy... Od pytań straszliwych, które się budzą, kiedy się widzi takie cierpienie i takie przerażenie. Kiedy się widzi zło. — Bo gdybym mogła była wtedy naprawdę wierzyć, że to, co się stało z Armenią, było jakimś wyjątkiem, jakąś niezrozumiałą omyłką... Gdybym była pewna, że to zaprzecza porządkowi świata, że to zagraża harmonii świata... Ale to było zgodne z naturą rzeczy, to było podobne do wszystkiego, podobne do wojny, do tego, co się dzieje w różnych koloniach, co było z Irlandią... To było jeszcze gorsze, ale nie było inne — pani rozumie, n i e b y ł o i n n e. I tego właśnie nie mogłam znieść, to mnie zachwiało... i odsunęło od Boga...

W jej oczach, pełnych zawsze zdziwionej, lękliwej słodyczy, było teraz przerażenie.

— Myślałam dużo o zwierzętach, które milczą, nie dziwiąc się. One nie mają żadnych nakazów moralnych.

Ich nienawiść i walka, ich okrucieństwo i cierpienie nie wynikają przecież z ich grzechu. Ani ich dziwne zbrodnie i ofiary... Cała pachnąca, śpiewająca natura ich przesiąknięta jest męką...

Nie chciała, aby jej przerywać. Chciała to mówić.

— Jak dobrze jest cicho i powoli umierać w łóżku, jeżeli pomyśleć o tamtym, jeżeli to porównać. Jaki to spokój i nawet — bezpieczeństwo jest w takiej śmierci — prawda? Bo cierpienia, które człowiek zadaje zwierzętom, są mniejsze od tych, które one zadają sobie same. Są mniejsze i jest ich mniej. Jakiż smutek jest w tym, że one muszą żerować na cudzym życiu, że one nie mogą, nie potrafią inaczej. Jakiż smutek jest w strachu, którego pełna jest natura, w samej nawet płochliwości ptaków... Strach jest przecież u wielu jedyną samoobroną, strach i cierpienie — nic więcej. Ileż zwierząt nie broni się wcale, nie mając złudzeń ani nadziei. One tylko uciekają, albo nawet wcale nie umieją uciekać. I do ostatniej chwili — oprócz cierpienia, uczuwają jeszcze przerażenie — i umierają w pazurach sępa, w zębach szakala.

One są zdolne nie tylko do cierpienia i trwogi, są zdolne także do miłości. Bo pamiętam taką rzecz dziwną, chociaż rzeczywiście nieważną. O szczurach. Były w kurniku — u nas, jeszcze w domu — i zabierały jaja z gniazd kurzych. Zastawili pułapkę i wreszcie złapał się jeden szczur. Ale na drugi dzień znowu zginęło jedno jajko. A po paru dniach dziewczyna znalazła wewnątrz gniazda kur siedem zdechłych, malutkich szczurów, przywleczonych tam umyślnie na to miejsce i zostawionych. Wie pani, co się stało? Ten szczur złapany — to była samica, która karmiła te małe. I po jej śmierci został samiec, który widział, jak jego małe bez matki powoli umierały z głodu. I kiedy wreszcie wszystkie zdechły, wyniósł je w zębach z nory, by — ja nie wiem — pokazać może tę swoją krzywdę i mękę, przerazić ludzi tym widokiem,

który dla niego był straszliwy... Czy może zwariował i dlatego tak wynosił te dzieci umarłe...

Nie, tego nie chciałam słuchać.

— Dlaczego pani sobie przypomina takie rzeczy? — powiedziałam. — O tym myśleć nie trzeba.

Ona popatrzyła na mnie ze smutkiem, czy niemal z prośbą. Milczała przez chwilę, rozmyślając. I po chwili powiedziała dziwnie:

— Ja przecież nie mówię wszystkiego — wszystkiego, co pamiętam...

Urwała i spuściła oczy — prawie zawstydzona, jak by samymi tymi słowami już powiedziała zbyt wiele...

Przez cały czas, mówiąc, trzymała i obracała w zaplecionych rękach kościaną figurkę Chrystusa — jak zwykle trzymała i obracała dotąd swoje zabawki. I była dziwna powaga w tym dziecinnym zestawieniu.

— Bóg nie chce zła, chociaż na nie pozwala. To mówiła pani de Carfort. Ona uważała za wielki grzech takie myśli. Ona jest silna i nie wątpi nigdy. I jest dobra. Ona mówiła, że świat jest harmonią, równowagą przedziwną dobra i zła. Ona umie znaleźć dobro w cierpieniu, dla niej jest piękna i kojąca nieustanna przemiana świata. — Och, myślałam o tym całe noce, starałam się znaleźć w jej słowach pociechę, ukojenie dla mojej męki. Ale jednak nie mogłam. W świecie nie ma ukojenia. Świat jest poważny i cierpiący. I w tym cierpieniu, które nie uszlachetnia, nie ma zadośćuczynienia, nie ma harmonii...

Wtedy też mówiłam raz o tym z panem Tockim. On podziwia świat w jego szczegółach i całości, ze złem i dobrem, z pięknością i brzydotą. On przystaje na świat — ale w taki sposób, któremu ja nie mogę ufać, który mnie nie przekonywa. I ja tego nie mogę zrozumieć. Pan Tocki jest spokojny — on nie potrzebuje harmonii, aby pochwalać, podziwiać i nawet kochać rzeczywistość... Według niego cały świat nadzmysłowy, cały zaświat — przed-

miot i cel naszej wiary, zawiera się w obrębie rzeczywistości. Czy pani może to zrozumieć?

Patrzyła na mnie pytająco...

— Czy pani to rozumie? Dla niego wiara to jest to, co rzeczywistość znalazła dla siebie w samej sobie — i wydźwignęła ponad siebie. To jest królewski luksus natury — coś, czym samą siebie przerasta, jej korona i kwiat — i jedyne usprawiedliwienie. Gdy wyje wilk, chociaż nie jest już głodny, albo jeżeli śpiewa ptak, a ma już gniazdo — to tutaj zaczyna się tęsknota rzeczywistości ponad siebie. Tym jest smutek człowieka pośród największego szczęścia, to nadaje piękno cierpieniu człowieka i to jest w człowieku koniecznością uwielbienia Dobroci i Miłości ponad sobą. I wszystko, w co ubrał, czym uświetnił człowiek swą śmierć. — Powiedziałam mu: dla pana Bóg jest po tej stronie. Pan nie wierzy w Boga poza człowiekiem... I dopiero wtedy przyjechał pan de Flèche...

Sossé zamilkła. Czy o tym może jeszcze teraz nie chciała mówić. Wróciła do pana Tockiego.

— On często wydaje się złośliwy albo niedelikatny. Naprawdę. Często nawet jest niezręczny. Ale jest bardzo dobry. I jego dobroć zastępuje mu wiarę... On wierzy w postęp świata, wierzy w dobro. Ale ja za słaba jestem na tę wiarę. Ja nie mogę być sama wobec tego, co ma być — co już jest.

Teraz Sossé mówić zaczęła o panu de Flèche.

— Pierwszy raz przyprowadziła go panna Hovsephian. On lubi książki te same, co ja, lubi muzykę. I także nie jest zdrowy...

Znaliśmy się tak mało. I gdy powiedziałam, że myśl o cierpieniach świata odebrała mi wiarę, był zdziwiony. Zapytał się: więc pani nie pamięta o Chrystusie na Górze Oliwnej, o Bogu, który cierpi?

Pamiętałam, ale wtedy nie mogłam tego zrozumieć: że

Bóg, który jest najwyższą Miłością i jeżeli jest Wszechmocny...

Pan de Flèche pytał się jeszcze: czy nie myśli pani, że On cierpi, nie mogąc przezwyciężyć zła świata i cierpienia ludzi? Jest najwyższą Miłością, która nie osiągnęła jeszcze swych celów ostatecznych. I pochylony nad rodem ludzi, szuka w nich i kocha w nich właśnie tę mękę z powodu zła. Bo tylko poprzez ludzi świat, przez Niego stworzony, osiągnąć może dobro.

To pan de Fléche powiedział mi, że Miłość doskonała nie jest wszechmogąca. A zrozumieć to można i droga do tej prawdy jest poprzez Górę Oliwną, poprzez słowa modlitwy Chrystusa...

Zwierzała mi to cicho, jak tajemnicę, zaplatając chude swoje rączki modlitewnym gestem.

— Cierpiał w Nim nie tylko człowiek, rozpięty na krzyżu, przebity włócznią. Cierpiał w Nim Bóg — nad niemocą swoją wobec zła. Przecież przyjął na siebie męczeństwo. I przystał nie tylko na swoją mękę, ale i na zło tych, którzy mieli Mu ją zadać. Czyż stałoby się tak, gdyby On mógł inaczej?...

37

Pani wie, że Saint-Albertowie są tu, w M...?

— Wiem — powiedziałam.

Panna Alicja wyglądała niezwyczajnie. Siedziałyśmy obok siebie na ławce pod murem jakiejś willi i patrzyłyśmy z góry na zjeżdżający w dół po wiadukcie pociąg zębatej kolejki.

— Przeżyłam ciężkie rzeczy, sama nie wiem, jak to przeżyłam. Pan de Flèche może ode mnie żądać wszystkiego. To on mi powiedział, że pani Saint-Albert się tutaj truła, że ją ratowali, że truła się przeze mnie. Tak, jednak

ja się tutaj z Saint-Albertem widywałam, bo mię ogromnie pociągał. Jego uśmiech ma w sobie coś takiego, że nie umiałam się temu oprzeć. Uśmiech, a także spojrzenie. Jego oczy kiedy patrzą, to głaszczą, pieszczą i same całują. Cóż ja jestem temu winna, że on tak bardzo mi się podobał. Teraz zresztą to wszystko nie ma już zupełnie znaczenia, ale wtedy było dla mnie czymś cudownym. Jednak na żądanie pana de Flèche od razu napisałam ten list i sama oddałam Saint-Albertowi za ostatnim widzeniem. Cóż mogłam więcej zrobić? Może ona znalazła ten list, może on sam jej powiedział — tego nie wiem. Może to było przyczyną... Ale ja już wtedy chciałam z nim zerwać, ona powinna była to zrozumieć.

Panna Alicja mówiła mi to wszystko prędko jak zwykle i w sposób samowystarczający. Nie czekała bowiem ode mnie ani zdziwienia, ani aprobaty. Było dla niej dosyć, że słuchałam.

— Ale teraz jest co innego, ja cała jestem inna — mówiła, wciąż nie patrząc na mnie, chociaż ostatni wagon małego pociągu zniknął już za krawędzią doliny.

— Dotąd mnie wcale nie było, chociaż go przecież znałam, chociaż go już dawniej widywałam. I nie domyślałam się wcale. Ja nawet nie mam żadnej pewności, czy mu się podobam, a sama myślę o nim wciąż, we dnie i w nocy pełna jestem tej myśli. Kocham go, po prostu go kocham, na to nie ma ratunku. Myślę o nim, nie myślami, tylko radością całego ciała. Ciągle się uśmiecham, gdy jestem zupełnie sama. Tęsknię za nim ciągle, nawet wtedy, gdy jest przy mnie. I gdy jest przy mnie, już nie jestem swobodna, nie mogę się uśmiechać, nic nie mogę powiedzieć mu szczerze. Nie wiem nawet, czy on wie. Jest taki szlachetny, jest taki obojętny. Kocha tę Armenkę, to jest pewne, on ją nawrócił, ja już wiem wszystko. On wierzy w Boga i w dobro.

Tak, było z nią źle. W niepokoju jej oczów, w żalos-

nym wyrazie ust, w bezwiednym załamywaniu rąk, gdy mówiła, widać było to niewątpliwe rzeczywiste cierpienie, które się rodzi z namiętności.

— Patrzenie w jego oczy — cóż to za rozkosz straszliwa. W jego oczy, które są chłodne.

Mówiła teraz, jak gdyby nie było mnie już przy niej. Nie krępowała się doprawdy w żadnej mierze.

— Kochając jestem głodna. Męczę się i nic nie rozumiem. Chcę jego pocałunku, a boję się dotknięcia jego ręki. Nie wiem, co mówić, ukrywam się i zdradzam, uciekam przed nim, chociaż mnie wcale nie goni, ale łapię się sama i znów przychodzę. Wciąż sobie układam, co mu powiem — i zapominam wszystko za chwilę, gdy tylko go zobaczę. Umyślnie przy nim zachowuję się w ten sposób, który na pewno go razi, udaję, że zajmuje mię jeszcze Carrizales albo ktokolwiek, jestem zalotna. Curchaud jeszcze nigdy nie był tak pewny, jak teraz, że pojadę z nim do Pnom Penh. A przecież każda rozmowa, każdy uśmiech, przebywanie z każdym innym mężczyzną to jest wysiłek i męka. Bo wszystko poza nim jednym jest okropne i nie do wytrzymania, cały świat poza nim jest nie do zniesienia.

Na chwilę zakryła oczy ręką, jak by je osłaniała przed słońcem, które zalewało w tej chwili cały ten cudowny świat przed nami.

— Gdy kogoś nie widzę, zawsze mogę go sobie wyobrazić. Wystarczy mi zakryć oczy i ściągnąć brwi i zawsze go chociaż na chwilę zobaczę. Każdego mogę sobie wyobrazić, tylko nie pana de Flèche...

Opuściła bezradnie rękę.

— W i e m, jaki jest, ale go n i e w i d z ę. Wiem, jaki ma kształt czoła i brwi, wiem, jak się patrzy, lekko poruszając jasnymi rzęsami, pamiętam, że ma łagodny głos. Ale daremnie tęsknię za jego obrazem. A gdy jest

przy mnie — mówiłam pani — to tęsknię do niego także...

Zamilkła i patrzyła teraz zupełnie blisko.

— Dawniej byłam pewna siebie, nigdy mi nie przyszło do głowy krępować się moim wyglądem. Teraz czuję się przed nim brzydka, wstydzę się mojej twarzy. Nie mogę iść, gdy on idzie ze mną i może myśli, że jestem niezgrabna...

No nie, tego pan de Flèche nie myślał na pewno. Mogłam ją co do tego zupełnie uspokoić. Ale i teraz nie odezwałam się wcale, czując, że panna Alicja zupełnie na to nie czeka.

— Tyle jest we mnie, tyle jest we mnie dla niego. Ręce mi się same wyciągają w jego stronę, czekam tylko na jego gest, by jak zwierzę zawołane przyjść.

A jemu to wcale nie jest potrzebne, on wcale nie wie, wcale nawet nie myśli...

Głos jej zadrżał w tej chwili, ale jednak się nie załamał. Nie była łatwa do płaczu, nie była też łatwa do cierpienia. Była nim głęboko zdziwiona, nie znała jego metod ani na nie sposobów.

Była nim zaskoczona, była zakochana pierwszy raz...

— Z początku nic nie myślałam, cieszyłam się po prostu, że on jest, że mogę go zobaczyć, że mogę słuchać, gdy mówi. Z początku była w tym wszystkim radość naprawdę — było szczęście. Ale teraz... Nawet jego dobroć jest dla mnie straszna, bo ta myśl, że gdyby odgadł, jak się męczę, to na pewno miałby dla mnie współczucie, że byłoby mu żal... Wszystko w nim jest dla mnie upokorzeniem. Nie tylko owa chora Sossé, ale każda kobieta, z którą on mówi, sprawia mi po prostu tortury — a zawsze myślałam o sobie, że nie jestem zazdrosna. Wczoraj widziałam z daleka, jak szedł z panią de Carfort. — I pierwszy raz pomyślałam, że ona jest ładna, że pewno ładniejsza ode mnie... Co mam zrobić, gdzie w tym jest

dla mnie ratunek. Czy lepiej jest, żeby się domyślił tego o mnie, czy żeby się nigdy nie dowiedział?

Nagle panna Alicja odwróciła się do mnie i spojrzała mi prosto w oczy. Miałam wrażenie, że dopiero teraz mnie zauważyła, ponieważ w tej chwili byłam jej potrzebna. Było jej potrzebne moje życiowe d o ś w i a d c z e n i e.

— Jak pani myśli — zapytała — czy to jest możliwe, żeby taka rzecz, żeby to wszystko było naprawdę tylko z j e d n e j strony? Żeby na to wszystko, co czuję dla niego, co mu ze sobą przynoszę, w jego życiu nie było wcale miejsca? Żeby to straszliwe możliwe szczęście dla niego nie było szczęściem? Żebym ja, patrząc w jego oczy, umierała z rozkoszy i męki; a on żeby nie czuł nic? Czyż taka rzecz doprawdy jest możliwa?

Tym razem żądała ode mnie naprawdę odpowiedzi, żądała jej jak wyroku.

Ja wiedziałam dobrze, jak bardzo możliwa jest ta rzecz, która wydawała się jej wprost niepojęta. Ale gdy patrzyłam na jej śliczną, młodą twarz, czarne oczy, udręczone miłością, suche usta, dyszące pragnieniem, gdy widziałam wyrywające się do pieszczoty jej ręce, które zaplatała rozpaczliwie — nie miałam już tyle pewności i chłodu, by jej odpowiedzieć.

Milczałam, pełna niepokoju. Bo tym razem miałam na myśli delikatną, małą, chorą Sossé, którą może jeszcze tylko uczucie pana de Flèche trzymało przy życiu.

— Nie wiem — powiedziałam po długiej chwili. — Tego nigdy nie można wiedzieć.

Wstałyśmy, by wrócić do domu. Panna Alicja szła przy mnie — wysoka, wyraźna, z daleka pociągająca ku sobie oczy mężczyzn i wcale teraz o tym nie wiedząca. Patrzyła tuż przed siebie, na drobne kamyki drogi, a jej usta uśmiechały się bezwiednie — ponieważ myślała o nim.

38

Kiedyś rano słyszę takie słowa, przepojone sentymentem i można powiedzieć nawet melancholią:

— Zrobiło się już ciepło, robaki wychodzą z ziemi, jest dużo do jedzenia...

— Na Boga, co ty mówisz? — zapytałam z niepokojem.

Nie, nie, to nic, to nie był, na szczęście, żaden objaw, mogący budzić uzasadnione obawy. Idzie o to po prostu, że coraz mniej zjawia się szuk na nasze poranne uczty, a chleb moczony w mleku leży czasami na poręczy po parę godzin, zanim wreszcie zostanie zjedzony. A to dlatego, że, obnażona ze śniegów, kwitnąca, zieleniejąca ziemia dostarcza już wszystkim ptakom dosyć pożywienia.

To nam przypomina, że minął już czas, przeznaczony na pobyt w tym pięknym miejscu ziemi, że nadeszła pora powrotu do naszego dalekiego domu.

Z kończącym się sezonem powoli opustoszały góry. I z naszej willi wyjechali już państwo Vigil i zabierał się do powrotu pan Verdy, któremu już tym razem góry nie wróciły zdrowia, jak kiedyś w młodości.

Zatęsknił bardzo do swoich wnuków. Ale nie miał nadziei doczekać tej chwili, gdy starszy z chłopców potrafi zastąpić go w fabryce, jak kiedyś już zastąpił go tam jedyny syn, który nie wrócił znad Marny. Sam nie czuł się już na siłach do tej pracy, odkąd utracił syna. Wyjeżdżał smutny, zawiedziony, równie stary i bezsilny, jak tu przyjechał.

Pani Malden od dawna nie było. Wyjechał też Włoch, pan Costa, do którego już panna Norah nie mogła wołać „buono giorno".

Pan Tocki miał wciąż wyjechać, ale odkładał ten wyjazd z dnia na dzień, i zawsze co wieczór słuchaliśmy przez chwilę jego pięknej muzyki.

Naturalnie, że trudno mu było odjechać z tego miejsca, gdzie pozostawała jeszcze na całe lato pani de Carfort. Dopiero bowiem na zimę pozwolono jej wrócić do niezdrowego dla niej, gorącego Maroka.

Jednego dnia przecież odjechał nareszcie. Widzieliśmy go do ostatniej chwili, jak stał w oknie zapadającego się w otchłań wagonu zębatej kolejki i machał chustką, póki tylko było go widać.

Za to nie wyjeżdżali wcale Armeńczycy, którzy nie mieli gdzie wyjechać, ani pani Wogdeman, której było wszystko jedno, gdzie jest, ani przez nikogo nie lubiany Fuchs, którego zdrowie nie poprawiało się wcale.

Pan Curchaud też nie wyjeżdżał, jak gdyby ciągle jeszcze czekał na pannę Alicję, która wodziła płonącymi oczyma za panem de Flèche, a do Curchauda śmiała się wyzywająco ustami, dygocącymi z męki.

I nie wyjeżdżał jeszcze pan de Flèche.

— To jest nawet smutne, wie pani — powiedziała do mnie kiedyś mała Sossé. — Ja panu de Flèche tak dużo zawdzięczam i tyle mam dla niego przyjaźni, że mię to martwi. On jest tutaj, ale przecież mógłby już wyjechać. Jego kuracja jest skończona, jest zdrowy. A nie wyjeżdża jeszcze, jeszcze swój wyjazd odkłada.

Zawahała się — niepewna, lękliwa — ona, rzeczywiście nie umiejąca powiedzieć tak wszystkiego do końca.

— Długo nie mogłam się odważyć, nie śmiałam mówić mu o tym. Dopiero wczoraj... Wczoraj prosiłam go, by więcej nie czekał. Ja już nie mogę wyzdrowieć...

39

Rzecz, w którą tak trudno było uwierzyć pannie Alicji, istotnie okazała się niemożliwa. Nazbyt silnie płomieniały uczuciem jej zakochane oczy, zbyt wymownie domagały się pocałunków jej usta.

— To jest szczęście, którego nie można znieść — powiedziała do mnie, śmiejąc się. — Cały świat pełen jest tego jednego — i ja się po prostu duszę, nie mogę złapać tchu...

Tak z nią było. Chodziła między nami jak żywa pochodnia. Jej śmiech, jej słowa, jej zabawa — to był ciągły, nieustający triumf.

Gdy zobaczyła gdzieś pana de Flèche, szła wprost ku niemu, nie odrywając już od niego oczów — szła po jednej, prostej linii wzroku. Zapory między nimi — przedmioty czy ludzie — jak gdyby musiały rozstępować się same. Nie wiem, czy tak było — ale trudno było tego nie pomyśleć. I każdy zdaje się z nas to uczuwał, każdy usuwał się na bok, odchodził, znikał — gdy oni się spotkali. Dla wszystkich bowiem wytwarzała się tam straszna pustka cudzego szczęścia.

U małej Sossé o tym czasie na pozór nie zmieniło się nic. W krótkie godziny zwykłych odwiedzin nie brakło w jej pokoju nikogo z przyjaciół.

I był tu też zawsze pan de Flèche — uśmiechający się z tkliwością do jej słów i spojrzeń, wydający się cały na działanie jej jedynego, dziecinnego i śmiertelnego uroku.

A pamiętałam przecież, jak powlekała się nagłą bladością jego spokojna twarz, gdy zobaczył gdzieś w tłumie innych ludzi pannę Alicję.

Uważnie teraz często na niego patrzyłam — i muszę wyznać, że cały jego stosunek do małej Sossé budził zaufanie i sympatię. To nie był ktoś umiejący bezwiednie zadawać cierpienie, ktoś nieświadomy wyrządzanej przez siebie krzywdy. Jego dobroć była mądra i uważna.

A jednak trudno mi było pozbyć się obawy o los Sossé, gdyby się miała dowiedzieć, gdyby tamto stało się jawne i oficjalne.

Pan de Flèche był tak spokojny i opanowany, że niemożliwością było odgadnąć, czy odbywała się w nim ja-

kaś walka wewnętrzna, czy zmagały się w nim te dwa odmienne światy powabu. Myślałam czasami, że oba te uczucia może naprawdę nie wchodziły sobie w drogę, że może były razem obok siebie i trwały jakoś zgodnie w tym człowieku. Ale czy mogło tak być długo?

Między różnymi wierszykami, które wstydliwie i ze skromnością pokazywała mi kiedyś Sossé, był jeden, który przypomniał mi się teraz. Był mianowicie taki:

Vous regrettez que j'aie frêles papillons dans mes yeux bruns,
Que je ne sois pas comme l'étang qui s'endort d'un rêve bleu infiniment...
Vous regrettez que je demande encore de roses pour mon front mort...
C'est que je ne puis m'en aller ou tout repose, sans une caresse et sans remords...

40

O tym czasie wezwano mię kiedyś do telefonu i okazało się, że to mówi od siebie, znad jeziora, pan Saint-Albert. Chciał się upewnić, czy jeszcze jesteśmy, ponieważ się do nas wybierał. Zdążyłam się tyle tylko dowiedzieć o jego żonie, że miała też z nim do nas przyjechać, ale poprzedniego dnia znów jej się pogorszyło.

Pan Saint-Albert przyjechał z dołu kolejką zaraz po śniadaniu. Ponieważ właśnie ten pokój, gdzie państwo Saint-Albert zawsze jadali, był pusty, więc tam zasiedliśmy sobie do czarnej kawy.

— Jest z nami coraz gorzej — powiedział do mnie od razu pan Saint-Albert.

Widząc, że jestem tym zaskoczona, uśmiechnął się swoim pociągającym uśmiechem. Ale było w tym jeszcze więcej wysiłku niż dawniej.

Całe jego zachowanie miało w sobie tym razem wyraźny przymus. Widocznie postanowił sobie i nakazał mówić o tym, co dla niego było najtrudniejsze.

— Jest między nami coraz gorzej — powtórzył. — Głównie z powodu niezdrowia żony, z powodu stanu jej serca i nerwów — dodał w sensie wyjaśnienia. — Pomimo wszystkich moich usiłowań, pomimo że oddałbym życie za tę sprawę — nie mogę jej z tego wyrwać, nie mogę jej uratować. Nic już nie mogę poradzić — taka jest sytuacja.

Mówił to poważnie, z opuszczonymi powiekami, z rękami zaciśniętymi na kolanie. Nie było mu łatwo mówić. Długie dni udręki sprawiły, że na to się jednak zdecydował.

Cała ta sprawa przekraczała jego możliwości. Był to za duży ciężar na jego młodość.

— Czy chce pan, żebym z panią Saint-Albert mówiła?

Tak, tego właśnie pragnął, na to jeszcze trochę liczył, że potrafię mu jakoś dopomóc.

Po chwili powiedział z akcentem tego samego przymusu:

— Można było myśleć, że śmierć tego człowieka jednakże to jakoś zakończy. Tymczasem jest właśnie inaczej...

— Śmierć — czyja?

— Ach, pani może o tym nie słyszała, że niedawno umarł jej pierwszy mąż.

Przypomniałam sobie, że słyszałam o tym zaraz po ich wyjeździe. I nagle zaczęły mi się wyjaśniać pewne momenty z mojej ostatniej rozmowy z panią Saint-Albert.

— On umarł, pierwszy mąż mojej żony, mój daleki krewny — rozważał przy mnie głośno pan Saint-Albert. — Więc wszystko zamyka się raz na zawsze, wszystko jest zupełnie skończone, nieprawdaż? Jest jeszcze jedna próba odebrania sobie życia. Ona to pani sama powiedziała, prawda? Ale ją jeszcze raz odratowali. Żyje.

Ona żyje, a jego już nie ma. Jest chora. To jedno jest złe, że jest chora. Poza tym jednak wszystko jest jasne. Jego nie ma.

— Tymczasem — mówił — tymczasem po jego śmierci ona zaraz chciała tam jechać. Temu jednak stanowczo się oparłem, na to nie wolno było pozwolić. Może więc w ten sposób byłem sam przyczyną, któż to wie. Jej obecność tam, wobec młodej wdowy i dwojga dzieci, przecież była zupełnie niemożliwa. Myślę, że nie grała w tym roli wyłącznie moja ambicja, mój egoizm. Że ze wszystkich względów nie mogłem na to pozwolić.

Pan Saint-Albert rozglądał się przez chwilę po pełnym kwiatów szklanym pokoju, gdzie może zdarzyło mu się dawniej zapominać czasem o swojej ciężkiej trosce.

Opanował się jednak, skupił i powiedział z pewnym namysłem:

— O jej przywiązaniu do mnie, o jej uczuciu ja ani przez chwilę nie wątpię. To jest jedyne, na czym w ogóle tu się opieram. Ale w tamtym małżeństwie ona tyle przecierpiała, że już niemożliwe jest dla niej tak zupełnie o tym zapomnieć.

I jeszcze po chwili powiedział:

— Nic dziwnego. Kochali się, jak kochankowie, przez całe piętnaście lat, przez piętnaście lat byli szczęśliwi. I nagle on traci głowę dla młodej dziewczyny, przeprowadza rozwód, żeni się. To nie są fakty takie rzadkie, ale dla pewnego typu kobiet — ambitnych, liczących się ze światem, szanujących ostatecznie tradycję — jednak bardzo ciężkie do przeżycia...

Tak sobie układał i porządkował życiowo swoje nieszczęście, tak je sobie za wszelką cenę czynił możliwym do przyjęcia — bez ujmy dla honoru, bez przekreślenia reszty nadziei. I taki był miły i bezradny w swym pokrzywdzonym, niedocenionym męstwie i młodości, w swym niepotrzebnym uczuciu.

Bo sprawa cała była inna i zupełnie prosta. Że mianowicie nie on — na przekór wszelkim warunkom — był kochany, ale tamten, który umarł.

41

Pojechałam na dół zaraz na drugi dzień i przyszłam do pani Saint-Albert z jakimiś kwiatami.

Zaczęła mnie rozpytywać o życie w naszej willi, o znajomych. Z początku przyjeżdżała do niej panna Hovsephian, teraz nie. Czy nie jest chora? Nie widzieli też dawno u siebie pana de Flèche. I jak się ma Sossé? I pani de Carfort, taka ładna?

Powiedziałam jej, kto wyjechał i kto pozostał. I że my także wyjedziemy już wkrótce. Ale to wszystko znaczyło, że pani Saint-Albert nie chce mówić o sobie. Właśnie teraz, kiedy ja po to przyjechałam.

— A jest przecież panna Alicja? Tak chciałabym ją jeszcze kiedy zobaczyć. Co teraz robi?

Nie miałam żadnej pewności, czy należy mówić o nowych sprawach panny Alicji. Więc to przemilczałam.

— Ona niesłusznie miała w stosunku do mnie jakieś obawy czy nieufność. Ona mi się zawsze podobała.

Pani Saint-Albert mówiła to tak prosto, tak jakoś niedbale i prawie z roztargnieniem, że nie mogłam jej nie wierzyć. Tak, to panna Alicja w swej potrzebie niepokoju i niebezpieczeństwa przypisywała sobie bezzasadnie jakąś w stosunku do niej winę, podejrzewała samą siebie o odegranie w tej sprawie roli czarnego charakteru. W istocie zaś ona sama nie została nawet — wobec spraw ważniejszych — jako niebezpieczeństwo zauważona.

Rozmawiając, siedziałyśmy na dużym tarasie, zastawionym miękkimi, wyściełanymi fotelami. Był to raczej

jakiś letni salon niż taras. Po kątach, ponad kanapami i pośrodku wszędzie było pełno palm i innych roślin zielonych, nie kwitnących. Wysokie na słupach lampy w miękkich jedwabnych parasolach mogły wieczorami zamieniać to miejsce w raj. Wielka, jak dach, nisko opuszczona markiza osłaniała to wszystko od słońca. Było ciemno, duszno i różowo.

W wąskim pasie między balustradą i brzegiem markizy mieścił się cały tutejszy świat. Góry, jezioro, zielone wybrzeże — wszystko zatopione w słońcu i błękicie.

— Droga pani — powiedziała teraz niespodzianie pani Saint-Albert — chce pani wiedzieć? Miałam umrzeć, bo nagle pojęłam, że póki on żył, zawsze jeszcze wszystko było możliwe, ponieważ zawsze, ponieważ o każdej chwili miałam nadzieję, że jednak gdzieś go spotkam na drogach świata i że mu powiem. Nie wiedziałam przedtem, że żyję właściwie tylko tą myślą, że mu powiem. Każdą przeżytą sprawę, każdy dzień i godzinę ujmowałam sobie w słowa, przeznaczone dla niego. Każdą mękę i tęsknotę, nieustającą moją tęsknotę, niezmęczone marzenie o nim. Wszystko miałam mu powiedzieć. I nie powiedziałam mu nic. Nie dowiedział się nigdy, co było, gdy sama postanowiłam odjechać, by zejść mu z oczu, gdy sama odjechałam, mogąc zostać, bo ostatecznie na pewno pozwoliłby mi tam gdzieś blisko być i patrzyć na ich szczęście... Co dnia układałam długie, cudowne listy, pełne zaklęć, pełne szału — i nie napisałam ich nigdy — przez głupią ambicję, przez obawę śmieszności, przez co, już nie wiem. Co dnia myślałam, że nagle tam oto przyjadę — i może natrafię na chwilę, że zmęczył się swoim tamtym szczęściem, że się zniechęcił, że znajdzie się na mnie jakieś małe, jakieś ostatnie miejsce w jego życiu. I nigdy nie pojechałam...

O, to była zła myśl, ta, która ją opętała, naprawdę niemożliwa do zniesienia. Ale są okrucieństwa, których nie

wolno wywierać na sobie, bo jest w tym coś aż niemoralnego.

— Tak, tak — powiedziała. — Wszystko jeszcze mogłam zrobić, póki żył...

Patrzyłam na nią ze smutkiem i, że tak powiem: ze zgorszeniem. Widok jej męczarni był niezdrowy i zawstydzający.

Czyżby naprawdę należała do tych kobiet „welche sterben, wenn sie lieben"? Miała zapadnięte oczy, cienie na policzkach, bruzdy przy ustach. Oddychała z trudnością. I nie broniła się wcale tej zmorze. Szła naprzeciwko niej, przywoływała ją do siebie.

— Chcę śmierci. Żądanie to powtarza się wewnątrz mnie tak ciągle i tak poważnie, że na pewno jest prawdziwe. Nie ma żadnej rzeczy na świecie, którą mogłabym temu przeciwstawić. Nie ma żadnej wartości na świecie, nie ma nic. Nawet najdalsze wspomnienia stały się złe.

Może jeszcze młodością moją było, że przestawiałam rzeczy i sprawy świata na inne miejsca. W straszliwy smutek faktu wkładałam przemocą jakiś sens.

Teraz wszystkie rzeczy wróciły na swoje miejsca. Zostałam odrzucona ja — i leżę na boku. Nie ma nic, co by nawet cierpienie uczyniło ważnym. Nic nie powiedziało mi swojej prawdy, odchodząc. Nie wyjaśniło się nic, tylko wszystko się skończyło.

Jestem umarła, jestem całkowicie gotowa. Ileż razy zamykam oczy, marząc: oto umieram, oto już, oto już...

42

Żegnając tamto miejsce, myślałam sobie, że w biegu życia nie można wyróżnić jakiegoś początku i końca, że nic nie da się twardo zamknąć w swoje dzieje. Każda rzecz sięga przed swój początek i wyrasta poza swój ko-

niec, łączy się i przeplata z innymi. Że wszystko w życiu raczej trwa, niż zaczyna się i kończy.

Bo kiedy tam przyjechaliśmy, nic właściwie się nie zaczęło. Tylko życie nasze przeplotło się z życiem tamtych ludzi. I teraz, kiedy wyjeżdżaliśmy, nic się też nie kończyło.

Nawet gdy ktoś umierał, to jego sprawy nie były tak zupełnie zamknięte i załatwione.

Zresztą o Eście nie dowiedzieliśmy się nigdy na pewno, czy umarł. Czy dojechał do swojej ojczyzny, czy nie. A jeszcze w ostatniej chwili, żegnając się z panią de Carfort, mówiłyśmy właśnie o nim. O śmierci zaś pani Saint -Albert dostałam wiadomość dopiero po powrocie do kraju. I to wszystko, co mi mówiła o starości i o cierpieniu, nie stało się przez to mniej prawdziwe.

Tak, po tym ostatnim widzeniu nie zobaczyłam jej więcej. Kiedy wyjeżdżaliśmy, była już nie w hotelu, tylko w lecznicy i nie opuszczała łóżka.

Wszystko, co za tym ostatnim widzeniem usiłowałam jej tłumaczyć, nie miało naturalnie żadnego znaczenia. I o niepowodzeniu mojej misji byłam z góry przeświadczona.

Ostatniego dnia przy śniadaniu powiedzieliśmy, że wyjeżdżamy, i pożegnaliśmy naszych znajomych. A do tych, którzy nie mogli zejść, sami poszliśmy się pożegnać.

Nie było już dawno pana Costy, a i Carrizales przed paru dniami wyjechał. Ale panna Nora mogła jeszcze rozmawiać po włosku z panem Vianellim, który wydawał jej się daleko mniej groźny niż kiedyś pannie Alicji. I teraz on znowu rozumiał ją doskonale, chociaż umiała zaledwie parę wyrazów i bardzo źle je wymawiała.

Tak, właściwie wszystko na ogół trwało. Żegnając pannę Norę, widziałam, że u niej przecież nie zmieniło się nic. Ludzie przechodzili przez jej życie, ale gdy odeszli, zawsze znowu mogli przyjść nowi. Jej niezachwiana we-

sołość, jej radość życia, przezwyciężająca smutek choroby i torturę nieruchomości, trwały poprzez wszystko.

Gdy poszłam potem pożegnać małą Sossé, był tam jeszcze raz pan de Flèche. Był już tak zdrowy, że mógł robić dalekie i trudne wycieczki. Właśnie pokazywał małe zdjęcia z ostatniej swojej wyprawy w góry — i panna Sossé zapytała, czy mogłaby jedną fotografię sobie zatrzymać.

— Pan tu wyszedł bardzo dobrze — powiedziała. I patrzyła w ten mały strzępek papieru tak uważnie, jak by pana de Flèche już teraz przy niej nie było.

Przyszła też panna Hovsephian. Przez chwilę mówiła z małą Sossé po armeńsku — i z tych dźwięków niezrozumiałych rozeznać mogłam tylko — jak i na początku — dźwięk: c z e, c z e, który oznaczał: tak.

I — jak na początku — pomyślałam sobie ze zdziwieniem, że ludzie nie mówią do siebie wszędzie jednakowo, jak wszędzie jednakowo mówią do siebie wróble cze, cze, jak miła zięba wszędzie jednakowo śpiewa swoją, zawsze jednakową, piosenkę.

My, ludzie, lubimy wszędzie mówić do siebie inaczej — i tylko nasz śmiech i nasz płacz oznaczają na całym świecie to samo i dla wszystkich są zrozumiałe.

Jednakże gdy tam byłam przez te miesiące wśród ludzi mówiących różnymi językami, to czułam zawsze, że przecież więcej między nimi było rzeczy podobnych niż niepodobnych. I że to, co było między nimi podobne, było właśnie ważniejsze, było doprawdy — najważniejsze.

A to, że w różnych miejscach ziemi porozumiewają się innymi brzmieniami, że mają trochę inny kolor oczów albo włosów, że mają trochę inne gusty i przyzwyczajenia — to jest mniej ważne.

Ale to właśnie, to już wystarcza, by było tak, jak jest. By było między nimi niezrozumienie, nienawiść, by była wojna. I by na próżno panna Hovsephian powtarzała

swoje naiwne słowa, że jeden naród nie powinien uciskać drugiego.

Gdy zostałyśmy na chwilę same, ta mała, kochana, tak mi naprawdę bliska i droga Sossé powiedziała cicho, patrząc mi w oczy:

— Madame, je ne vous oublierai jamais.

Miałam już odejść, do głębi wzruszona tym rozstaniem, gdy ona zapragnęła jeszcze mi coś powiedzieć.

— Czy pani wie, że pan de Flèche się zgodził...

— Na co się zgodził?

Ona wyjaśniała zażenowana, ze swoim dziecinnym uśmiechem:

— On się zgodził wreszcie na moją prośbę, która jest przecież rozsądna. On ma w domu matkę, która go czeka, ma majątek, którym trzeba zarządzać. Jego obecność jest tam potrzebna, to jest konieczne. I dzisiaj powiedział mi na koniec, że się godzi...

— I wyjeżdża?

— Tak, wyjeżdża. Cieszę się, że to zrozumiał, że skoro jest już zdrowy — prawda? — to nie powinien już dłużej tu pozostawać... Skoro jest zdrowy i tam ma obowiązki...

43

W rano naszego wyjazdu na całą tę górską wiosnę, na kolorowe kwiaty, na zielone łąki, na pękające drzewa spadł gruby, biały, mokry śnieg.

Było zupełnie biało, gdy staczaliśmy się małą kolejką w przepaść doliny. Przez okienka wagonu wszystkie domy, hotele i pałace wydawały się zupełnie krzywe — jak by to one gdzieś spadały, przewracały się i waliły, nie my. A z placyku przed dworcem, z drogi i nawet z okien naszej willi machały ku nam tutejszym zwyczajem chusteczki naszych przyjaciół, którzy nas żegnali.

Nad urwiskiem zbocza, w białym tumanie śniegów, wielkim stadem planowały, ważyły się i kołowały szuki.

Ja myślałam o tej najmilszej przyjaciółce, małej Sossé, która nawet z okna nie mogła nam się ukazać. A z pamięci wynurzyły mi się słowa jej modlitwy:

Panie, zmiłuj się nad nami,
Panie, zmiłuj się nad nami,
Święta Trójco, ześlij pokój na ziemię.
Daj zdrowie chorym,
Ulżyj cierpiącym!

